CENA 20 ZŁ W numerze: Mieczysław R. Frenkel „Chleb czuwaski“, Niejaki X „Bitwa pod Lipskiem“.

CZYTELNIK

Odra
tygodnik

WROCŁAW KATOWICE

NUMER 38 (147) KATOWICE, WROCŁAW, SZCZECIN, OLSZTYN, DNIA 19 WRZEŚNIA 1948 ROK IV

ROMAN BRANDSTAETTER

Przemysław II

Tragedia w trzech aktach

AKT PIERWSZY

(Komnata na zamku poznańskim)

LUDGARDA: Rada jestem, żeście przyszli do mnie. Lubię z wami pogwarzyć, bo zawsze nowinki przynosicie o tym, co się w Poznaniu i księstwie dzieje.

ZARĘBA: Pani.

LUDGARDA: Do mnie wieści rzadko przychodzą. Niekiedy czuję się jak bór, po którym cudze echa hukają. Co przynosicie nowego, kasztelanie?

ZARĘBA: Tym razem wasze serce niewieście uraduje się nowiną, że kupcy z gorących krajów do Poznania przyjechali, towarów coniemiara z sobą przywożąc. Mieszczki, gdy kupcy na rynek wjechali, wśród radosnych okrzyków zbiegły się do wozów, ja jednak kupować im zakazałem do czasu, aż wy, pani, towary i sukna przejrzycie, najpiękniejsze dla siebie wybierając.

LUDGARDA: Skąd owi kupcy przyjechali?

ZARĘBA: Z nad Bosforu przyjechali, pani. Opowiadają, że w ich ojczyźnie morze jest jak lazur, a niebo — —

LUDGARDA: *(przerywając)* Bosfor leży daleko.

ZARĘBA: Bardzo daleko, pani.

LUDGARDA: Inny świat.

ZARĘBA: Niepokój jest w waszych oczach, gdy o krajach dalekich mówicie.

LUDGARDA: Niepokój?

ZARĘBA: Za dalekimi krajami tęsknią ludzie, których miłość zawiodła.

LUDGARDA: Czytać w myślach umiecie.

ZARĘBA: Sercem czytam. Wtedy wszystko co bliskie jest czytelne.

LUDGARDA: To grzech.

ZARĘBA: Grzech z dobrych uczuć nie może się zrodzić.

LUDGARDA: Trzeba niekiedy od własnych uczuć uciekać, by je od grzechu wybawić.

ZARĘBA: Czy dlatego myślą uciekacie do dalekiego świata?

LUDGARDA: Świat o wieczorze maleje. Świat o wieczorze tak maleje, że go w własnym sercu zamknąć można, a nawet w jednym spojrzeniu. *(po chwili)* Dla ludzi umierających świat staje się tak mały, że mieści się w ich ostatnim jęku.

ZARĘBA: Co wam jest, pani?

LUDGARDA: Nic.
(milczenie)

ZARĘBA: Kupcy piękne jedwabie i atłas przywieźli. Złotogłowia bez liku. Szpilki i zapinki perłami i klejnotami wysadzane. W klatkach mają papugi kolorowe, a na łańcuchach małpy, śmieszne skoki wydziwiające. Gdy człowiek własnymi oczyma te dziwy ujrzy, pogodniej na świat patrzy. Najsmutniejszego one rozweselić mogą. Obejrzycie je jutro, pani. Uradujecie serce pięknościami bez miary, a nowy duch w was wstąpi. Bądźcie dobrej myśli, pani.

LUDGARDA: Mówią — —

ZARĘBA: Co mówią pani?

LUDGARDA: Mówią, że na wschodzie rzemieślnicy sporządzają maleńkie jeziorka, zwierciadłami je zowią, które w dłoni trzymać można i w nich przejrzeć się i tak wyraźnie twarz swoją widzieć, jakbyś sam na siebie patrzał. Prawda?

ZARĘBA: Prawda.

LUDGARDA: Kupcy te cuda mają?

ZARĘBA: Nie wiem.

LUDGARDA: Spytajcie ich o to.

ZARĘBA: Spytam ich.

LUDGARDA: Chciałabym mieć takie jeziorko. To przecież dziwne własną twarz i postać wyraźnie zobaczyć, i pomyśleć, że właśnie taką ludzie mnie widzą. Tu nic w zamku nie powtarza mojej postaci. Tu nic w zamku nie odbija mojej twarzy. Ludzie przechodzą obok mnie obojętnie i mijają mnie, nie czekając na moje przyjście. Może zwierciadło na mnie czekać będzie. *(po chwili)* Tylko w oczach miłujących dokładnie przejrzeć się można.

ZARĘBA: Nie chcecie patrzeć, pani.

LUDGARDA: Niema na zamku takich oczu.

ZARĘBA: Są.

LUDGARDA: Wszystkie oczy mrokiem zaszły.

ZARĘBA: *(milczy)*

LUDGARDA: Nocą.

ZARĘBA: *(milczy)*

LUDGARDA: Umarły. W umarłych oczach przejrzeć się nie można. Nie powtórzą miłości.

ZARĘBA: Pani — —

LUDGARDA: Zamilczcie.

ZARĘBA: Jeszcze nawet mówić nie zacząłem.

LUDGARDA. W milczeniu cali jesteście, kasztelanie. Gdy milczycie, to was rozumiem. Gdy mówić zaczynacie, wasza mowa mnie boli jak rana.

ZARĘBA: Wasze cierpienie mnie boli.

LUDGARDA: Chcę z nim sama pozostać.

ZARĘBA: Pragnę wam ulżyć.

LUDGARDA: Człowiek silny własny ból sam dźwiga. Wydaje mi się, że mi godność odbieracie, gdy ciężarem mojego cierpienia chcecie się ze mną dzielić.

ZARĘBA: Pani — —

LUDGARDA: Zamilczcie, kasztelanie. *(po chwili)* Powiedzcie o tym, co się w księstwie dzieje.
(milczenie)

ZARĘBA: Goniec z Gdańska z wiadomością przybył, że Mszczuj pomorski jest u kresu swoich dni.

LUDGARDA: Książę wie?

ZARĘBA: Wie.

LUDGARDA: Co mówi?

ZARĘBA: Dla nas to niedobra nowina.

LUDGARDA: Co książę mówi?

ZARĘBA: Od dawna próbuję księciu oczy na prawdę otworzyć. Pocóż nam obce ziemie w posiadanie brać?

LUDGARDA: Pomorze to nie obca ziemia.

ZARĘBA: My nie morski naród. Morze to obcość dla nas.

LUDGARDA: Mnie o tym nie mówcie. Ja z nad morza.

ZARĘBA: Gdy margrabiowie się dowiedzą, że dziedzictwo po Mszczuju na księcia przechodzi, kły pokażą.

LUDGARDA: Książę wie co czyni.

ZARĘBA: Książę burzę na Wielką Polskę sprowadzi, zapewne nieświadom zła, które na naszą ziemię spadnie, gdy w pomorskie sprawy mieszać się będziemy.

LUDGARDA: Księciu staranie o to zostawcie.

ZARĘBA: Książę nie pierwszy raz zaczepkami margrabiów drażni. Przed dwoma laty w krwi Santok utopił.

LUDGARDA: Polski Santok, kasztelanie, Askańczykom odebrał, krwi swojej i żołnierskiej nie szczędząc. Książę niebezpieczeństwo z brandenburskiej strony wietrzy. On ziemię lubuską i jeziora lubuskie kocha. Każdy rodzi się ze swoim krajobrazem. To jego krajobraz. Zachodnie niebo. *(po chwili)* Wy księcia nienawidzicie.

ZARĘBA: Sprawiedliwie go oceniam.

LUDGARDA: Gdzie własny interes w grę wchodzi, tam sprawiedliwie ludzi oceniać nie można. Wróg mojego wroga jest moim druhem. Miejcie się na uwadze kasztelanie, byście się po stronie wroga nie obaczyli.

ZARĘBA: Księcia bronicie?

LUDGARDA: Wagę w rękach trzymam i widzę, jak się na waszą niekorzyść przechyla. Po prywacie mówicie.

ZARĘBA: Ja?

LUDGARDA: Wy.

ZARĘBA: Ja interesu na Pomorzu nie mam.

LUDGARDA: Ale jest inny interes, który wami kieruje!

ZARĘBA: Gdzie go widzicie?

LUDGARDA: Ja!
(milczenie)

ZARĘBA: O przebaczenie was proszę.

LUDGARDA: Przeszło.

ZARĘBA: Dziękuję wam pani.
(milczenie)

LUDGARDA: *(nagle)* Pragnę się z wami pożegnać.

ZARĘBA: Wyjeżdżacie, pani?

LUDGARDA: Nie.

ZARĘBA: Więc dlaczego chcecie się ze mną pożegnać?

LUDGARDA: Tak będzie lepiej.

ZARĘBA: Dlaczego, pani?

LUDGARDA: *(milczy)*

ZARĘBA: Przerażacie, mnie, pani.

LUDGARDA: Czyście się kiedyś już żegnali?

ZARĘBA: Więcej pożegnań niż powitań było w moim życiu.

LUDGARDA: Więc wiecie co to jest śmierć.

ZARĘBA: Pani!

LUDGARDA: Idźcie.



Jan Matejko: Śmierć króla Przemysława II

ZARĘBA: *(milczy)*

LUDGARDA: Idźcie.

ZARĘBA: Pozwólcie jedno słowo — —

LUDGARDA: *(szeptem)* Niepotrzebne.

ZARĘBA: *(wyszedł)*

LUDGARDA: *(otwiera okno. Gwiazdy błyszczą na niebie. Oparta o framugę wpatruje się w mrok nocy)*

PRZEMYSŁAW: *(wszedł)*

LUDGARDA: *(odwróciła się)* Wy tutaj?

PRZEMYSŁAW *(milczy)*

LUDGARDA: Cóż takiego się stało, że raczycie do mnie przyjść?

PRZEMYSŁAW: *(milczy)*

LUDGARDA: Od roku nie byliście na moich komnatach. Ważne zapewnie zaszły zdarzenia, skoro mnie dziś odwiedzacie.

PRZEMYSŁAW: *(milczy)*

LUDGARDA: Siadajcie.

PRZEMYSŁAW: *(usiadł)*
(milczenie)

PRZEMYSŁAW: Z wielką do was sprawą przychodzę.

LUDGARDA: Słucham.

PRZEMYSŁAW: Sprawa to większa od ludzi, którzy o niej stanowią.

LUDGARDA: Słucham.

PRZEMYSŁAW: Gdy ludzie większe od siebie sprawy czynią, to wtedy tworzą się dzieje. Rozumiecie?

LUDGARDA: Rozumiem.

PRZEMYSŁAW: Z nad morza jesteście.

LUDGARDA: Jestem.

PRZEMYSŁAW: Pamiętacie morze?

LUDGARDA: Morza zapomnieć nie można. Z zamku mojego dziada w Szczecinie, na morze patrzałam. Morze to moje dzieciństwo.

PRZEMYSŁAW: Morze ma duszę.

LUDGARDA: Ma duszę.

PRZEMYSŁAW: Ma swoje gniewy.

LUDGARDA: Ma swoje gniewy.

PRZEMYSŁAW: Ma swoje pogody.

LUDGARDA: Ma swoje pogody.

PRZEMYSŁAW: A za tym morzem są inne morza.

LUDGARDA: Są.

PRZEMYSŁAW: I inne ziemie.

LUDGARDA: Sąą.

PRZEMYSŁAW: Cały świat.
(milczenie)

LUDGARDA: Pamiętam, gdyście do mnie, na zamek szczeciński w swaty przyjechali.

PRZEMYSŁAW: *(pytające spojrzenie)*

LUDGARDA: Na morze patrzyliście jak zaklęci.

PRZEMYSŁAW: Morze powtarza w sobie niebo i ziemię, słońce, gwiazdy i księżyc. Jakżeż więc nie być oczarowany żywiołem, którego duszę stanowi odbicie tego wszystkiego, co nad nim i nad jego brzegami króluje. *(po chwili)* Serce w morzu zostawiłem.

LUDGARDA: Wiem.

PRZEMYSŁAW: Całe serce.

LUDGARDA: W morzu. Nie we mnie.
(milczenie)

PRZEMYSŁAW: *(wstał)* Polska zaczyna się od morza a kończy na Karpackich górach. Kto by ją chciał od Karpat stawiać, postąpiłby jak ten co dom budując, stawianie jego od dachu zaczyna. *(po chwili)* Mszczuj lada chwila umrze. Pomorze będziemy brali w dziedzictwo. Przyszedłem tutaj, by wam powiedzieć, że do podróży powinniście się przygotować, bo skoro Mszczuj z tego świata zejdzie, natychmiast na nadmorską ziemię wkroczę z całym dworem, z orszakiem jak księciu przystoi. Niech Brandenburczycy wiedzą, że nad morzem stanąłem. *(po chwili)* Bądźcie gotowi. *(idzie ku drzwiom)* Żegnajcie.

LUDGARDA: Przemysł — —

PRZEMYSŁAW: *(przystanął)*

LUDGARDA: Wiele mówicie, a mnie się zdaje, że wy milczycie.

PRZEMYSŁAW: *(szeptem)* Co wam?

LUDGARDA: Wasze słowa nie mówią, lecz milczą.

PRZEMYSŁAW: Mówcie jaśniej.

LUDGARDA: Zabijacie mnie, Przemysł.

PRZEMYSŁAW: Ja?

LUDGARDA: Tak.

PRZEMYSŁAW: Was?

LUDGARDA: Tak.

PRZEMYSŁAW: Rok was nie widziałem.

LUDGARDA: Zabić można nie tylko mieczem. Zabija się często spojrzeniem, słowem, milczeniem, nawet nieobecnością. To też jest okrutna śmierć. Przemysł, ja jestem zmęczona tym wiecznym na was czekaniem. Wiecie, co to czekanie? To ciągłe łowienie szmerów, powiewu wiatru, szelestu liścia. Ciągle mi się wydaje, że tym szmerem, powiewem wiatru, szelestem liścia, wy jesteście. Przemysł, gdy człowiek na człowieka czeka, to go nawet w własnej śmierci widzi.

PRZEMYSŁAW: *(szeptem)* Nie moja wina.

LUDGARDA: Przemysł, Bóg od was odszedł.

PRZEMYSŁAW: Bóg często po to odchodzi od człowieka, by go potem oślepić światłem swojego powrotu.

LUDGARDA: Każdy człowiek ma swój własny uśmiech i swój własny płacz. Przemysł, mój uśmiech pozostał na zamku szczecińskim, w owych dniach, gdyście do mnie przybyli. Dziś ze mną jest tylko płacz gorzki jak piołun. Wszystko co mnie otacza, zdziałane jest z płaczu. Z płaczu stawiane są te ściany, te mury, ten sosrąb, te okna. Wszystko na co spojrzę jest płaczem. Wszystko czego się tknę w płacz się zamienia. Przemysł, nad morze idziecie, w kraj moich lat dziecinnych, nad Bałtyk zielony. Nie idźcie w moich łzach, jak w żałobnej szacie. Bóg nie wraca do człowieka, który odszedł od człowieka.

PRZEMYSŁAW: Nie moja wina.

LUDGARDA: Ja was kocham, Przemysł. Ja wiem żeście wrogami otoczeni, że zewsząd przeciw wam głowy się podnoszą, że Brandenburczycy, Krzyżacy, książęta śląskie, tylko czekają tej chwili, by to co wy scalicie, rozerwać. Ja jestem z wami. Na złą i dobrą dolę. Ja was podeprę. Wróćcie.

PRZEMYSŁAW: Nie moja wina.

LUDGARDA: Lud zbożnie wychowajcie na waszego dziedzica. Lud to syn, wielki, zbiorowy. W jednym człowieku idea się rodzi i umiera, kwitnie i więdnie. W ludzie jest wiecznie żywa. Wasze ukochanie morza miłośnie w lud wszczepiajcie, iskrę czułości w pożar rozniećcie, a cali w ludzie żyć będziecie. Człowiek w człowieku łatwo umiera. W ludzie nigdy. Wróćcie.

PRZEMYSŁAW: Nie moja wina.

LUDGARDA: Wasze morskie dzieło niechaj będzie synem waszym. Zdziałajcie je na podobieństwo waszych najpiękniejszych uczuć, by było waszej miłości odbiciem. Synami są własne myśli, jeżeli są piękne, dzieła, jeżeli są dobre, słowa, jeżeli miłujące. Bądźcie ich ojcem, Przemysł.

PRZEMYSŁAW: *(szeptem)* Drzewo nasiona rzuca. Zwierzęta się łączą i mają potomstwo. Wszystko co kwitnie, co się rodzi, boli mnie jak rozdrapana blizna. *(gwałtownie)* Trzy księstwa czekają! Ziemia Lubuska czeka! Bałtyk czeka! A mnie co?! Wielkie myśli bez dziedzica! A mnie co!? Stolica poznańska pusta po mojej śmierci! Więc poco mi ziemie łączyć i pazurami w morski piach się wżerać!? By kilku głupich książąt darło się po mojej śmierci o to, co ja wypieściłem, by nieświadomi tego, co pragnę zdziałać, niszczyli trud mojego życia i niszczyli to, co z mozołem stawiałem!? Syna chcę! Syna! Dziedzica mojego dzieła! Syna, w którym żyć będę po śmierci!

LUDGARDA: *(szeptem)* Prawdą jest wszystko to, co minęło. Złudą jest ten zamek, złudą są ogrody po których codzienie krążę, złudą jesteście wy, wasze oczy, wasze słowa, złudą jest wszystko, czym się nasycić nie mogę. *(po chwili)* Jesteście, jak nocna burza na morzu. Któż wie, co się w waszych niezbadanych mrokach dzieje? Rano, gdy miniecie, ludzie o przerażonych oczach, będą się starali po zmąconym piachu nadbrzeżnym i resztkach rozbitych łodzi, wyrzuconych na brzeg, odczytać wasze nocne, burzliwe szaleństwo. I to po was poozstanie, co w ciemnym wichrze na brzeg wyrzucicie. Nic więcej. Nic więcej. Nic więcej. *(wyszła)*

PRZEMYSŁAW: *(stoi jak wryty. Po chwili poczyna milcząco przechadzać się po komnacie. Przystanął. Klaszcze.)* Anna! *(cisza)* Anna!

ANNA: *(wchodzi)* Jestem — — A — — a — — To ty? Ty na pokojach księżnej? Co cię tu sprowadziło, syneczku?

PRZEMYSŁAW: *(milczy)*

ANNA: *(usiadła)* Już długo cię nie widziałam. Nie zachodzisz do twojej starej piastunki. Ongi przychodziłeś, rozmawiałeś. Dziś tylko milczysz.

PRZEMYSŁAW: *(milczy)*

ANNA: Słyszałam, że cię troski gryzą.

PRZEMYSŁAW: *(przystanął)*

ANNA: Tak mówią.

PRZEMYSŁAW: Trudno z własnej samotności dom budować.

ANNA: Każdy człowiek jest samotny, bo sam za siebie żyje i umiera.

PRZEMYSŁAW: Gdzie księżna?

ANNA: Posła spać. Nikt nie słyszy. Mów spokojnie.

PRZEMYSŁAW: Jak mówić, gdy przed własną myślą uciekam. Przed własnym biciem serca. Przed własną twarzą. Śnię o tym, by przestać mówić własnym głosem, oddychać własnym oddechem, widzieć własnymi oczyma. O śmierci śnię.

ANNA: Czyjej?

PRZEMYSŁAW: Niekiedy wydaje mi się, że śmierć jest moim dzieckiem.

ANNA: Ludgarda?

PRZEMYSŁAW: *(szeptem)* Tak.

ANNA: Cóż ja ci pomóc mogę?

PRZEMYSŁAW: Męczę się. Wszystkich grzechów i wszystkich upadków w mych myślach dokonałem. *(po chwili)* A może się mylę? A może to wszystko co mnie otacza nie jest takie jak je widzę? Ludzie, którzy ku aniołom się pięli, a dc szatanów spadli, mniemają że aniołowie są szatanami. Chorymi myślami o te

(Dokończenie na stronie 4)

JÓZEF LIGĘZA

Indukcje wrocławskie

Inaczej patrzą i inaczej widzą wystawę wrocławską ludzie mieszkający na ziemiach zachodnich, niż przybyli na jej oglądnięcie widzowie z głębi Polski. Spostrzeżenie to narzuciło mi się nieomal zaraz po wkroczeniu na wystawę, kiedy zwiedzając ją indywidualwidziałem przepływające koło mnie zwarte grupy wycieczkowe, łatwe do zlokalizowania dzięki opaskom z napisami miejscowości pochodzenia. Sprawa ta wielce mnie zainteresowała i tak od samego wstępu starałem się sam zwiedzając, nie tracić z oczu zwiedzających. Doraźne spostrzeżenia wykazały, że przewodnicy, prowadzący wycieczki mieszkańców ziem zachodnich, zmuszeni byli do częstego, energicznego „a teraz idziemy dalej“, bo prowadzeni interesowali się za bardzo drobiazgowo i wszystko dokładnie chcieli zobaczyć — a oczywiście nie zdawali sobie sprawy z tego, ile jest do zobaczenia. Natomiast wycieczki ludzi z głębi kraju szły w tempie wyznaczonym, a nieomal każda z nich miała mniejszą lub większą awangardę wyprzedzającą przewodników, którzy w przeciwieństwie do wspomnianych zwoływali do siebie prowadzone grupy, by im ukazać ciekawsze eksponaty. To spostrzeżenie dość dobrze ilustruje rozpiętość regionalną zainteresowań problematyką ziem zachodnich ludzi z poszczególnych regionów Polski, a przede wszystkim potwierdza w sposób wyraźny i dobitny fakt wzrastania i zrastania nowej ludności zachodu Polski z ziemiami przez siebie obecnie zamieszkiwanymi. Wydaje mi się, iż wystawa winna być terenem odpowiednich studiów socjograficznych, które by te, na gorąco ujęte, i inne spostrzeżenia, systematycznie prześledziły i zarajestrowały. Przekonany jestem, iż dałoby się wyciągnąć z tych studiów wiele ciekawych wniosków.

Niewątpliwie, zbiera się dane statystyczne, ale to mało. Spostrzeżenia i zapiski przewodników, jakieś ankiety wydają mi się być bardzo cennym materiałem dla całości naszej wiedzy o problemach i procesach zachodzących współcześnie.

Krótko mówiąc apelowałbym o monografię Wystawy Ziem Odzyskanych i monografię zwiedzających.

Dodatkowe zainteresowanie, które narzuciło mi się zaraz na wstępie i spowodowało rozdzielenie uwagi i czasu, wpłynęło na przyśpieszenie samego zwiedzenia. Chciałem zachować sobie więcej czasu na najżywiej mnie interesujące zagadnienie kulturalne. Taka szybka, bez przewodnika, wycieczka po wystawie jest pewnego rodzaju sprawdzianem celowości jej ekspozycji, wszystko bowiem co zostanie wówczas zauważone jest istotnym wyrazem jej czytelności a równocześnie dodatkową generalizacją problemów i zagadnień będących treścią wystawy. Przechodząc z jednego pawilonu do drugiego, utwierdzałem się coraz gruntowniej w celowości dokonanej zarówno przy samej syntezie poszczególnych zagadnień jak i doborze metod i środów ich przedstawiania. Dostrzegało się ścisłe zharmonizowanie pracy teoretyków stawiających problemy z plastykami, którzy je obrazowali, będące niewątpliwą i chyba najcenniejszą zasługą organizatorów wystawy. Trzem grupom ją zawdzięczamy i ich dziełem jest jej sukces; ludzie nauki, politycy i działacze społeczni dali jej treść, artyści ukształtowali formę, organizatorzy harmonię i ład realizacji. Nie byłoby sprawiedliwie i słusznie, by kapitalne formy pewnych ujęć plastycznych przesłaniały przy wydawaniu sądów o wartości wystawy wspaniałe niejednokrotnie syntezy naukowe czy inne koncepcje, ale równocześnie jasno sobie zdajemy wszyscy sprawę, że te właśnie formy ujęć plastycznych składają się na zewnętrzne oblicze wystawy. I one głównie sprawiają, że jest ona interesująco piękna; boć przede wszystkim sądzimy tak, jak widzimy.

Chciałbym, jak wspomniałem, nieco dokładniej omówić zagadnienia kulturalne. Zagadnienia te należy traktować łącznie z całością, nie tracąc z oczu całego splotu warunkowań życia i rozwoju kulturalnego ziem zachodnich, jakie dawała część t. zw. problemowa, które niezależnie od swej zasadniczej treści wyjaśniają warunki i możliwości pracy i rozwoju kulturalnego ludności tych terenów. To powiązanie istniało wyrażone kolejnością obrazowanych zagadnień i osadzało zagadnienia kulturalne w całym kontekście spraw i problemów już nie tylko ziem zachodnich, ale całej Polski. Przełamanie sztucznych ilozacji, jakie niejednokrotnie są praktykowane przy ujmowaniu i obrazowaniu zagadnień kulturowych, podkreślić należy jako osiągnięcie. Bo choć sprawa wydaje się być oczywista, przecież zwłaszcza w pracach zbiorowo podejmowanych mogły te uwarunkowania zostać pominięte albo zatarte.

Zagadnieniom kulturalnym oddano jedną z sal Hali Ludowej, która, jak wiadomo, w całości poświęcona jest człowiekowi na Ziemiach Odzyskanych. Zagadnienia kulturalne poddano chyba największej generalizacji ze wszystkich, jakie na wystawie były uwzględnione. I właśnie ta generalizacja, posunięta — jak mi się wydaje — za daleko, spowodowała, iż dział ten wygląda dość ubogo. Nie wiem, może to nam, tym których te problemy szczególnie interesują, tak się wydaje, ale żałowałem, że pewne zjawiska podano w cyfrach, a nie ujęto ich przestrzennie że pewnych zjawisk jak np. rozrosłego wielostronnego ruchu amatorsko - artystycznego i innych nie odnalazłem wśród tablic i wykresów. Zapewne, że miasto Wrocław ze swoimi osiągnięciami w dziedzinie kultury, oraz rozlicznymi pokazami było dopełnieniem a równocześnie widomym sprawdzianem odniesionych efektów, ale jak się naocznie przekonałem, istniała niewspółmierna różnica między ilością widzów na wystawie, a takąż ilością zwiedzających bardzo interesujące pokazy, leżące poza wystawą główną.

Wystawa, jak wspomniałem, jest interesująco piękna, mało tego, dynamiczna i dynamizująca. W iluż to jej punktach potwierdzałem wypowiedź organizatorów o kinetyce przedstawianych zagadnień, zauważałem na wystawie momenty, w których zatraca się jej statyczność, pewne zjawiska przysuwają i przesuwają się koło widza. To już nie film, który jest tylko jednym z elementów tej dynamiki wystawowej, to przejaw swoistego życia wystawy, jej drugie obok artystycznego wyglądu oblicze i drugi wymiar. Ta dynamiczność jakby wchodziła w widzów, ruchem, treścią, obrazem, była początkiem przeżywania wystawy i refleksyj rozlicznych. Przypuszczam, że w tysiącach odmian różnorodnych skojarzeń zwiedzających, jedno się wyróżniało, że to co przelewa się żywym strumieniem przez te ziemie, to jest to samo, co wyraża współczesną rzeczywistość polską i że te ziemie to już Polska.

Zwiedzałem wystawę w okresie obrad międzynarodowego zjazdu intelektualistów. Zwiedzanie i pobyt we Wrocławiu w tym czasie były zgoła osobliwe. Odczuwało się jakuś dziwna łączność z tym, co się oglądało, słyszało i mówiło a rzeczy oglądane nabierały specjalnego wyrazu. Była to chyba najciekawsza atmosfera wystawy z całego okresu jej działania. Mimowoli biegły oczy w kierunku wybiegającej w niebo iglicy doznaniem wartości pokoju.

Co robią Niemcy?

„In kleinen Dingen ist der Deutsche wahr" – Makabryczna statystyka – Cyrk tragiczny

Małe fakty, małe sprawy niemieckiej rzeczywistości — raz jeszcze przejrzane, wydobyte na światło dnia to nie tylko wspaniałe panopticum, ale prawda o życiu głębsza niż najmędrsza rozprawa erudyty. In kleinen Dingen ist der Deutsche wahr, przeczytać można u Ericha Kaestnera, jednego z najlepszych satyryków niemieckich doby obecnej. Istotnie. Bo oto otwieram, powiedzmy „Horizont", tygodnik młodzieżowy, licencjowany przez władze amerykańskie w Berlinie. Jest tu mała rubryczka, zawierająca opinie czytelników, a więc fragmenty listów do redakcji. Nam, redaktorom znana jest dość dobrze zasada, że często to, czego nie da się powiedzieć w artykule wstępnym, mówi się w liście do redakcji. Niektóre redakcje specjalnie zmyślają takie listy. Ale „Horizont" posługuje się listami prawdziwymi, podaje nazwiska i adresy swoich korespondentów. A korespondenci ci piszą np. tak: „Gdyby mianowicie wszyscy, bez oglądania się na innych, pomogli byli Niemcom do wygrania wojny, wojna byłaby wygrana", albo „Kto w roku 1918 tworzył rady żołnierskie i honor niemieckiego żołnierza ciągnął w błoto — ten dziś żołnierza niemieckiego — który walczył za swój naród a nie za pana Hitlera — nie przyjmie z otwartymi ramionami". Redakcja fragmenty te publikuje bez komentarzy, my je powtarzamy także bez komentarzy. Szczerości nie można odmówić dwom powyższym fragmentom. Innego rodzaju szczerość mieści się w następujących zapiskach: „Narodowy socjalizm jest dzisiaj dla Niemiec większym niebezpieczeństwem od komunizmu, bo osłania się go romantyzmem, szczególnie niestety w Niemczech Zachodnich", albo: „Prawo jest dzisiaj równie łatwe do kupienia, jak przedreformacyjny odpust za grzechy. Od Johanna Tetzela do Pawła Wandela naprawdę nie ma żadnej zmiany. Byłoby zresztą rzeczą dziwną, gdyby ludzie mogli poza śmiercią zmieniać i sprawiedliwości doświadczać za darmo".

Dziesięć milionów trupów — woła Leonhard Frank — dziesięć milionów ludzi ubyło! Krew owych dziesięciu milionów pomordowanych — czterdzieści tys. litrów dymiącej krwi ludzkiej — mogłaby w ciągu całego jednego dnia zastąpić olbrzymie ilości wody Niagary i dostarczyć prądu dla olbrzymiego miasta... Cały tabor kolejowy pruski nie wystarczyłby do jednorazowego transportu odrąbanych głów owych dziesięciu milionów. Cywilizacja... Wyobraźcie sobie ów fantastycznie długi pociąg, pierwszy wagon stoi już w Monachium, na berlińskim dworcu głównym zaś ostatni, a wszystkie wypełnione są dymiącymi głowami ludzkimi. Cywilizacja!... Połóżcie owe dziesięć milionów zamordowanych biednych ciał obok siebie, głowa przy głowie, stopa obok stopy! Zapełnią one w ten sposób długi grób, ciągnący się przez szesnaście tysięcy kilometrów, a więc obejmujący całe Niemcy. Szesnaście tysięcy kilometrów trupów! Cywilizacja!

Do walki z separatyzmem bawarskim, który przybiera nieraz formy bardzo śmieszne, wytacza się nie tylko argumenty historyczne, często wytacza się argumenty z dziedziny satyry, ostatnio nawet coraz częściej. Przypomniano np. powiedzenie Kurta Tucholsky'ego: „Anglicy to Rzymianie nowego czasu. Francuzi są Chińczykami Zachodu. Japończycy są Anglikami Wschodu. Belgowie — to Polacy Zachodu. Kim jednak są Bawarczycy, jakie to plemię — tego nie dowiedział się jeszcze żaden człowie".

Ale choć Leonhard Frank przypomina wielkim głosem dziesięć milionów pokrwawionych ciał, choć Tucholsky pomaga politykom, którzy walczą z mrokami, wciąż jeszcze zapisuje się czarna tablica. Na niej to prasa niemiecka zanotowała nierzadki zresztą wypadek, że w pewnym zakładzie wychowawczym dla dzieci na terenie Bawarii znaleziono powieszone na ścianie wykaligrafowane pięknie pozdrowienie chrześcijańskie: „Gelobt sei Jesus Christus", z drugiej zaś strony tekturki znajdował się napis nieco starszy: „Haendchen falten, Koepfchen senken — und an Adolf Hitler denken", co się wykłada na polski: rączki złożyć, główki skłonić — do Hitlera myślą gonić.

Tragicznym cyrkiem nazwał Niemcy Tomasz Mann. Wielki pisarz, choć nie zamierza wrócić do Niemiec, kocha bardzo swoją ojczyznę. Jego notatki „Leiden an Deutschland" ukazują najlepiej tę ogromną tęsknotę za Niemcami, które pragnął widzieć sprawiedliwymi dla innych, nie tylko dla swoich, pokojowymi i humanistycznymi. Tomasz Mann zna Niemcy doskonale, jego określenie „tragiczny cyrk" dobrze pasuje do naszej małej antologii. W tragicznym cyrku występuje pewien magik. Jest nim Heinrich Anacker, poeta SA, o którym już tu kiedyś pisałem i uważny czytelnik przypomni sobie, że była o nim mowa, jako o wracającym do życia i sławy i bogactwa. Anacker, pierwszy laureat nagrody literackiej NSDAP za tomy wierszy i pieśni o SA, dlatego może być nazwany magikiem, że w jemu tylko właściwy sposób udało mu się przekonać trybunał denazyfikacyjny o swej absolutnej niewinności. Heinrich Anacker, autor bojowych piosenek oddziałów SA, został zdenazyfikowany, a na rozprawie ów magik tragicznego cyrku oświadczył, że nikt nie ma pojęcia „jak on szalenie kochał Niemcy i dla Niemiec tylko pisał te wiersze, oczywiście nie dla tamtych Niemiec, wprawdzie pisał SA, ale myślał o SPD, która kiedyś znowu się pojawi na widowni politycznej Niemiec, wprawdzie pisał „Fuehrer", ale wtajemniczeni wiedzieli, że należy to czytać jako Schumacher". Jednym słowem, kiedy Anacker pisał „pchnij wroga Polaka w samo serce", należało to rozumieć tylko jako przenośnię i pomyśleć: „pchnij wroga Hitlera w samo serce". Rzeczywiście, jakie to proste. Oj magiku, magiku!

„Ja — powiedział ostatni człowiek — jako jedyny, który przeżył trzy ciężkie wojny, mam już wszystkiego po uszy. Nie pozwolę sobie już nigdy wyciągać żebra z mojego boku. Zaczynają się wtedy bowiem od razu historie z kobietami i kończą się krwawym dramatem". To powiedziawszy wycofał się w swoje własne wnętrze. — Richard Drews, opowiadając tę krótką historyjkę snuje katastroficzne przypuszczenia, oświadczając w końcu, że katastrofizm, choć tak szkodliwy, ma wielu zwolenników w Niemczech. Jedynie narodowi socjaliści — mówi się ogólnie — nie są katastroficzni. Oni wierzą w przyszłość. Reszta pogrąża się w beznadziei, w przeczuciu jakiegoś bliskiego i tragicznego końca. Tragiczny cyrk, robiąc miny dość często wesołe, pogrążony jest w apokaliptycznym odstępie. Odcinają się od tej atmosfery niektóre tylko grupy, które niosą optymizm jutra, wiarę w Niemcy. Przyznać trzeba, że dużą rolę w tym budzeniu optymizmu odgrywają niemieccy intelektualiści, działający w strefie radzieckiej. Tu usadowiły się, jeśli tak można powiedzieć, sztaby optymizmu. Tu mówi się całym Niemcom gorzką prawdę o odżywaniu hitleryzmu, o niejasności wewnętrznej u wielu. O tej prawdzie opowiada tenże Drews inną historyjkę, dopasowując ją do stosunków niemieckich. Oto pewnego dnia przybył na cmentarz nowy nagrobek. Głosił on wielkimi złotymi literami: „Tu spoczywa wypompowany życiem łajdak". Ach, jak trzeba być bezwstydnym, by otwarcie głosić taką prawdę, szemrały inne nagrobki, odsuwając się od nowicjusza. Uczciwy nagrobek z pewnością czuł się osamotniony, jak każdy, kto mówi prawdę.

WISZ.

LESZEK ELEKTOROWICZ

Dlaczego Sylwester przestał żyć!

I.

Była chatka mała jak twarz dziecinna
słoma włosami spadała ze strzechy
na okna niebieskookie.
Tam się urodził Sylwester.
Matka karmiła go z piersi słonecznej
ojciec kładł miękką rękę kryształową
noce były krótkie jak bajki
dnie kwitły łagodnie jak sny.
Wieczory ogrzewał śpiew matki:
„Święta Maryjo Rodzicielko Pana
daj nam przywitać szczęśliwie dzień
zgub ciemne noce, zdeptaj szatana..."
— taka była pierwsza Sylwestra
modlitwa — o szatanie.
Lata mijały jak chleby
cięte w kromki dni
lata przebiegały, jak chłopcy roze-
[śmiani.
Sylwestra oczy, to łąki w kwiatach
Sylwestra nozdrza — świerkowy las.
Drobnym ramieniem obejmował glebę
stopami gładził góry, włosami dopę-
[dzał wiatr
Nocą brał w usta gwiazdy ziębnięte
dla ptaków słał gniazda na czole
a w sercu — tyle serc nocował
kiedy głos matki na nitce ciepłej
przywodził go w drzwi świetlejące
kładł w sen jodłowy.

II.

Na polach fiolet się rozszedł
drzewa stanęły w cynobrze
góry góry marszczyły czoła milczące.
Dnie miały okna piwniczne
a noce jęczały
przerażone
pobladłe
gdy księżyc otwierał groby
podnosił białe szkielety
i wlókł nad ziemią
czaszkę błyszczącą.
Raz nocą przynieśli ojca nieżywego
matka krzyczała — zabili! zabili!
szatani ojca zabili!

III.

Szedł drogą splamioną
szedł zranionymi polami
deptał spalone włoski
kamienne kikuty miast.
Widział twarze bez oczu
widział dzieci szalone
ludzi bez rąk i bez nóg
i kobiety bluźniące skrwawionymi
[ustami
Słyszał chrystusów wyjących
zza drutów ciernistej korony
widział pręgi czarne na twarzach ci-
[chych jak łzy
i sine, psie oczy pod bolesnym czołem.
I dojrzał wtedy człowieka
człowieka z lufą wymierzoną
człowieka na czarnym krzyżu bom-
[bowca
człowieka — miotacza kul
handlarza łez
fabrykanta seryjnej rozpaczy.
I dojrzał w jego oczach
błysk śmiercionośny:
pozagrobową nienawiść.

IV.

Sylwester stał na skale wysokiej
[jak myśl
ostrej jak jęk.
Sylwester patrzył w gwiazdy
i widział zmarłe oczy na niciach czer-
[wonych pajęczyn.
Ramiona miał szeroko otwarte i puste
i — runął.
Runął poza noc
poza sen
i poza lęk obudzeń — —
Oto był, który szukał szatana
a wszędzie znalazł ludzi.

JAROSŁAW ROGALA

Drogowskazy powietrza

Są miejsca spełniania się odwagi i także, gdzie dopiero odbywa się jej ćwiczenie. Nie było to pole po bitwie — przeciwnie: było pod każdym względem spokojnie i cicho. W powietrzu wisiał zapach pełni sianokosów, tego łabędziego śpiewu ściętych traw.

Nawet nie zauważyłbym pewno tego miejsca, ale w rozbitym i spalonym Polanowie, jak niedoparte zanotowie, wbił się we mnie imperatyw drogowskazu. Był on chyba jedyną aktualną osobliwością miasteczka. Posłusznie więc wybrałem kierunek na Bobolice. Z południowego krańca powiatu sławieńskiego w południową przedłużkę koszalińskiego. Początkowo z prawa towarzyszył mi nasyp kolejowy, ale za Żydowem przeprawił się na przeciwną stronę świetnej zresztą szosy. Nie wiem, czy linia ta jest żywa?

Ten urodzajny kąt, lepszy niż okolice, był kiedyś we władaniu rodu Święców (r. 1300), a zamek gród Polanów otrzymał prawa miejskie od ks. Bogusława IV. Syn pierwszego kasztelana książęcego zaprzedał grody swoje Brandenburczykom, lecz wkrótce (r. 1313) odbił je ks. Warcisław IV. Nawet obwarował się tam książę i trzymał załogę w odzyskanym grodzie. Za wojny Kazimierza Jagiellończyka (13-letniej) miasto zdobyli i splądrowali Krzyżacy. Odbudowało się potem i trwało aż po r. 1656, gdy wojska polskie — po katastrofie Szwedów w Polsce — wkroczyły tam, miasto splądrowały i spaliły doszczętnie. Nigdy już nie dźwignął się Polanów. Okolica tylko kwitła rolniczo. Teraz rok 1945 nową wojną rozgromił miasteczko.

Gdzieś w tej stronie (ku Rososze) jest Góra Święta, miejsce schodu pielgrzymów słowiańskich, lecz nie zapisano nigdzie, czy od czasów kościółka na tej górze datuje się kult miejsca, czy też na górce pradawnych obrzędków ufundowano zwycięstwo łacińskiej świątyni.

Z biegu auta nawierzchnią widać było wprawdzie, że i tu dalej są wokoło pagórki, ale, doprawdy, kiedy skręciło się do wsi Nowy Młyn, niespodzianką był tu wręcz karkołomny zjazd. Rzeczywiście chyba sanki mogą marzyć o tak ostrej pochyłości. „Willys" stacza się, gdy z całą sprawnością swych hamulców. Na bramie napis: „Służba Polsce". Za tą bramą objeżdżam pachnącą, skoszoną niskość łąki. Obstępują nas pagórki jak zielone dekoracje. Zjechaliśmy już na sam najniższy dół, gdzie rozlewa się jezioro z wyspą, zarosłą malowniczo.

„Nazional-Sozialistisches Fliegerkorps" w 1939 roku zbudowało maskę tych zabudowań, stylizowanych na przybrzeżną zagrodę rybacką. Trzcinowa strzecha widzi się ubóższa od gospodarstwa prawdziwego rybaka, na wsi po przeciwległej stronie wody.

Przez tego od miejsca lotów odwracał uwagę młyn, choć zwyczajny, przewiokowy, nadający naturze wiele ozdoby, taki sobie młyn nad niepozorną Radwią, płynącą ku Prośnicy, a z nią ku Kołobrzegowi.

Mąki tu raczej się spodziewasz, węgorza, ciągu kaczek najwyżej, ale nigdy... szybowców!

Tymczasem Departament Lotnictwa Cywilnego Ministerstwa Komunikacji od dwu lat utrzymuje tu szybką szkołę szybowcową. Znak jej o dwu mewach jakowie pieczętuje to miejsce. Łopocze na maszcie bandera. Wszyscy w okolicy znają to miejsce za piękne, do niedawna nieznane amatorom, teraz zakontraktowane na rzecz chłopców w ochronnych mundurkach.

Pod strzechami mieszczą się: biuro, sale szkolne i mieszkalne, hangar.

— Kurs 6-tygodniowy jest wstępem do uzyskania godności pilota szybowcowego I, a następnie II klasy.

Tyle tłumaczą mi wszystko istotnie kierownik szkoły, kierownik wyszkolenia oraz instruktorzy. I pomyśleć, że misjonarze lotnictwa, nie za złote góry, lecz z zapału do opanowania powietrza zakopali się tu i pracują. Nie wiem, czy jest gdzie na Pomorzu druga taka wieś, żeby było aż 43 km do kolei! Dopiero od tej wiosny zaczął przejeżdżać tędy autobus. Pustelnia zapału! Ludzi tych opadł kiedyś czar lotów i zagustowali w nim. Nie chcą, aby spadł z nich ten czar.

Normalnie pracujemy od świtu do nocy — słyszę relację. — Tylko od poniedziałku aż do maja jest martwy sezon.

— Co robicie wtedy?

— Praca warsztatowa. Naprawia się sprzęt. Kadra idzie na urlopy, wykłady wędrowne, kursy.

— A w dni nielotne?

— O, jest co robić: program kulturalno-oświatowy, wykłady teoretyczne, historia, geografia, dyskusje. Sami uczniowie wiele wnoszą inicjatywy. Dni nielotne w wiosnę nie dochodzą tu przeciętnie do 30% całości czasu.

Zwiedzam sale wykładowe. W świetlicy miłe, lotnicze elementy dekoracyjne. Dalej kiosk uczciwości: sklep bez sprzedawcy. Na korytarzu melduje się dyżurny. Jest w porządnym kombinezonie, spinacze, wygląd zdyscyplinowany.

— Dlaczego boso? — pytam kierownika.

— Buty stoją w salach, bo mokro. Szkoda ich na te łąki.

Zaglądamy do rzędów łóżek. Panuje tu wszechpamiętna „kostka mundurowa", jako symbol nie tyle „drillu", co formy jednolitego porządku.

Gdy przechodzimy przez wymuskaną kuchnię, kierownik podejmuje serię pochwał na rzecz starosty z Miastka:

— Choć nie jego powiat, bo to sławieński, przywiózł nam kiedyś pełen samochód żywności. Nawet nie wiem, skąd to wziął, auto, wiem, było wypożyczone od doktora.

Krótko bawimy w hangarze, bo oto zaczyna się ruch na pagórkach. Wychodzimy ku nim. Stoją wkoło. Są dobre na wiatr z dowolnej strony. Na tym polega wyjątkowa dogodność kotlinki. Od podnóża ciągną się właśnie szybowce. Ciężko, mimo wyciągu.

— Tu leń nie wytrzyma. Choć wyciągarka motorowa, naciąga się z 10 minut i to dwa — trzy razy dziennie każdy. Robota nie licha. Do tego trzeba mieć zapał.

— Czy wielu jest amatorów?

— Aż za wielu. Przechodzą selekcję zdrowia i zdolności, a potem tu: w powietrzu.

Właśnie z jednej z dalszych grupek wystrzela biały, uskrzydlony przyrząd. Trochę chybocze się, słabnie w locie, opada... Usiadł niepewnie i przychylił się na skrzydło.

— Temu daleko do doskonałości.

— Bał się, co? Jest zewsząd otoczony przepaścią wysokości.

— Kiedy nie o to chodzi! Musi się bać. Chodzi przede wszystkim o opanowanie, o przezwyciężenie do wrażenia lotu.

Wychodzimy na szczyt pagórka. Instruktor czeka na podchodzący szybowiec. Naciąga się gumową linę. Młodzi chłopcy zajęci są swoją sprawą, ale zerkają ku gościowi ze świata.

— Wiele znaczy taka propaganda lotnictwa wśród młodzieży. Tworzymy człowieka lotniczego. Wyrabia się pasja lotnika. Doświadczenie, tu nabyte, jest też oszczędnością prawdziwego sprzętu lotniczego. To na razie wydaje się lepsze. Nawet motor nie zawiedzie, bo go nie ma...

— A jak odpadają?

— Przeważnie sami rezygnują. Zostają tylko ci, których powietrze „bierze".

Nawija się linka. Szybowiec już ustawiony. Uczeń siada pod skrzydłami. Siedzonko istotnie nie daje wrażenia oparcia. Przepasano chłopca w pół. Na twarzy skupienie. Przejęty.

— Gotów?

— Gotów.

Widzę, jak połyka linę. Zaraz go...

O, już wystrzelony! Leci...

Skrzydła przeświecają jakby biaława ważka, wielka, równo idąca. Człowiek musi tam przestawić swoją wrażliwość. Ster tylko pod stopami. Pod nim nic. Całe oparcie — w skrzydłach. Owadzie, ptasie oparcie. Musi się odczłowieczyć, zowadzić, uskrzydlić się, zrównoważyć i śmiało patrzeć w przepaść. Jeżeli panuje nad strachem, jeżeli ziemie w sobie lęk, a zdobędzie spokój lotu, to i przeleci równo i spokojnie bez szwanku, jak ten...

Mrówczo, w dole wokół znowu skrzydła, z których odpięto człowieka odwagi. Na marginesie prawdziwego lotnictwa odbywa się powolne, uczniowskie zdobywanie prawa do jego pełnego posiadania.

— Coś jak małokalibrowe strzelanie — zauważam.

— Tak, tak — cieszą się gospodarze i spiją się powietrzem ich wielkich, poważnych przeżyć.

— Najciekawsze jest wyzyskiwanie prądów termicznych — mówi jeden.

— Ja zawsze patrzę, gdzie palują bociany — podpowiada drugi. Po nich łatwo poznać, gdzie w taki prąd się włączyć.

— Ja raz miałem wypadek nad Poznaniem, że podchodziłem za jastrzębiem, który kołował ponad mną i wznosił się coraz wyżej. To bardzo komiczne. Jastrząb oglądał się, dziwił się, patrzał, ale za nim w tym samym tempie, aż w pewnej chwili widzę, że pode mną drugi. Podchodzi też, kołując.

— Tak, byliście we trójkę, pan między dwoma jastrzębiami.

Z obramowania pilotki patrzy na mnie pociągła twarz. Jest na niej wyraz zachwytu. Był między jastrzębiami, oglądały się na niego. Nie płoszyła ich ta dziwna, biała powietrzna, nie widziana nigdy, bezszumna, idąca w ślad spokojnie, gnana inteligencją wżycia się w powietrze.

Jastrzębie były mu jak drogowskazy, poufałe, przyjazne, swojskie, we wspólnym żywiole.

Może o podziwie jastrzębi marzył Ikar? Też tak wzleciał z górki, a jeżeli podpłynął pod słońce, blisko, aż do roztopienia się wosku, zlepiającego mu skrzydła — to może tego dnia właśnie odkrył tajemnicę jastrzębi. Odkrył sposób nieruchomego krążenia, oparcia materii skrzydeł o niematerialne powietrze. Leciał górnie i bosko — ku słońcu, ozdobie niebios.

I zawiodło go narzędzie lotu: spoidło skrzydeł.

Zawiodło aż do katastrofy, rzucając w otwartą pod nim śmierć.

Oto jesteśmy u elementów prawidłowości, a więc piękna, opanowania powietrza: doskonałe poznanie tajemnic powietrza i tajemnica niezawodności skrzydeł. Każdy może dziś przypiąć sobie skrzydła lotu nad ziemią i nad morzami.

Chłopcy, na których patrzę, są szczęśliwszymi braćmi Ikarów.

Wyszkolą się, a umiejętność zostanie w nich. Nie „demodują się" ludzie, przeciwnie niż każdy sprzęt. Są drogowskazami chwili. Przekażą swoją wiedzę następnym.

Wśród wzgórków gromadzi się zasób odwagi powietrza. Chłopcy nabierają lotności.

Wystrzela znowu biały skrzydłowiec. Górny i jastrzębi jest, jak śmiała myśl.

Opodal, nad młynem biało kołuje bocian, jak jastrząb, przyjazny drogowskaz przestworzy...

Jarosław Rogala

MIECZYSŁAW R. FRENKEL

Chleb czuwaski

Z końcem lipca 1944 weszły do miasta wojska radzieckie. Boje trwały kilka dni. Walczono na ulicach, w zaułkach, na placach. Ludność siedziała po schronach, śledziła przebieg walk orientując się więcej według słuchu, detonacje bliższe lub dalsze dawały znać o zbliżeniu czy oddaleniu się frontu, który przerzucał się jak w gorączce, kurczył i rozpłaszczał, zacichał i kipiał i kształcił ucho w odróżnianiu niuansów. W chwilach krótkich zawieszeń broni co śmielsi wyskakiwali z piwnic na piętra, aby przekonać się z otwartych na oścież okien czy szyby w porządku, potem półkolem czy ulica cała, czy kamienice z naprzeciwka nie runęły naszej w objęcia, zasypawszy wyjście na świat gruzem. Salwy karabinów maszynowych nie płoszyły wyległych na światło dzienne stonóg, przypatrujących się z ostrym głodem wrażeń panoramie opustoszałej ulicy, ich oczy biegały tam i z powrotem wzdłuż i wszerz ulicy i dopiero sypiący się tynk i bardzo bliskie detonacje odganiały ciekawskich od okien, gdy z dołu mieszany chór głosów żon, matek, sióstr i córek na wyprzódki wywoływały imiona rozproszonych po całej kamienicy naocznych badaczy dziejów ojczystych w stanie nie tyle płynnym ile lotnym.

W tych pamiętnych dniach finałowych rozgrywek o miasto śmierć nie na płynnej, lecz na lotnej podchodziła taśmie. Pociski waliły się na dachy domów, kule karabinowe świstały w powietrzu, czołgi jak jakieś przedpotopowe olbrzymy-ropuchy tarasowały gościńce, plując ogniem i zagładą, a głęboko pod marszczącą się powierzchnią miasta trwało zatajone jego życie cywilne, cofnięty dla niepoznaki w głąb ciała brzuch, od przełyku po jelita, tam dymiły się garnki z lichą strawą, tam wymieniano zdania i myśli o wynikach walk ulicznych, o ich następstwach i skutkach. Iluż nadziejom, obawom i życzeniom dawano tu upust. Iluż posprzeczało się tu przyjaciół nie z powodu odmiennych orientacji, lecz po prostu dlatego, że walka na górze wtrącała się nieproszona jako vis maior w ich dyskusje i to w chwili gdy, ich zdaniem, szala przeważyła się na ich rzecz i bliscy byli zwycięstwa. Obie strony były pewne, że Niemcy znikną z oblicza miasta i że pozostawią po sobie smród dotkniętego śmiertelnym strachem drapieżnego zwierzęcia, chodziło o to, jakie z tego będą dla ogółu korzyści. Oby tylko zwierz mocno farbując pospiesznie zmykał w głąb własnej kniei. Bliskie eksplozje przerywały tok rozumowań, a rozhuśtane nerwy nie mogły do nich nawracać.

W końcu Niemcy zmiatali jakby krwawą dotknięci biegunką. Pozostawały po nich niedokończone spory, domy w ruinach, kikuty kominów, dziury w murach, dotknięte paraliżem, obłocone ciała czołgów, z potarganymi, werżniętymi w grunt ślimacznicami i szkło, szkło roztarte na grudki, na proch, na dziwaczne lancety, iskrzące się w promieniach lipcowego słońca, szkło, szkło. Nad tym wszystkim furgotały naprędce wywalone z okien sztandary, języki wybebeszonych wnętrz, gorące, pełnokrwiste, z zaciśniętych ciemnych jam okiennych, alarmujące, jak sygnał ogniowy. Zajęły się i ludzką nabrzmiały krwią.

Z wozów radiowych krążących po głównych ulicach buchała ku nim z powiewem wiatrów pieśń dętych instrumentów i trzepotała w ich fałdach. Spływała ku niskim pagórkom zwiniętych w kabłąk lub dziwnie wyprostowanych zwłok, zesztywniałych na bruku, na chodniku, gdzie popadło, przypadła do kobiety z pękiem kluczy założonym za pasek fartuszka, jakby sama sobie zamknęła odwrót zatrzymawszy klucze przy sobie, do jakiegoś dozorcy, który w dniach walki wyszedł przed bramę niewiadomo po co z miotłą w ręku i nie rozstał się z nią po dzień dzisiejszy, dziwnie żywą w porównaniu z nim, niezmienioną, krnąbrną w swej niezniszczalnej istocie. Dozorca twarzą wrył się w ziemię, jakby go śmierć zmusiła do rycia najmiększą częścią ciała przekopu do wnętrza ziemi.

Przed gmachem województwa leżał z opuchłym jak tympanon brzuchem trup radzieckiego oficera, guziki bluzy nie wytrzymały idącego z wnętrza naporu, wypadły jak groch ze strąków i tuż obok niego czerniały w nieładzie. Brzuch puchł jak na drożdżach i wypiętrzył się w stożek. Nad głową wirowała czarna aureola much, dla kontrastu z nieruchomą głową skrzydlata, bzykająca. Hołdowniczo nawiązała przerwaną w przyrodzie nić między martwą powłoką człowieka a naturą, która zdołała zapomnieć o niedawnej jego formie i gotowała dlań nowe przeznaczenie dla swoich celów w stanie rozkładu. Dlatego pewnie metalowe guziki wyglądały bardziej martwe, niż on, one jedne nie brały udziału w przemianie, której uległ bohater dzięki nabojowi ze spokrewnionego z nimi metalu.

Ulicami miasta płynęły pułki, sztafety motocyklowe, treny i czołgi. Twarze oskorupiałe warstwami pyłu stu i więcej dróg, ciemne od skwaru słonecznego, garbowane w siedmiu potach, porysowane jak mapy sztabowe krętymi liniami napadów i obron a od dołu u krawędzi wozów buty, spłowiałe obwijacze, dziurawe podeszwy, owijane w okrwawione onuce łopuchowe stopy, gołe pięty, parujące od upału, umęczone, obnażone nogi i gęsta fala zapachów całej armii goniącej drugą, uchodzącą, lepiej może obutą, ale tracącą kontakt z tą ziemią, którą najechała, zbezcześciła i wyrzuciła z łożyska. Z tej wielkiej masy ludzkiej wybuchała miejscami, jak grzywa konia stojącego dęba, pieśń, pieśń, jak noc, pieśń fuga, pieśń wezbranej latami tęsknoty za tym, co pozostało na tyłach, a nagle przeniosło się z zwycięstwem na czoło pochodu, pieśń wiary w jutro. Dzień przechodził zmierzchem w noc, noc świtami wrastała w dzień. Pułki szły a szły ku stronom, gdzie łuny świeciły się nocami, a dymy jak chmury kłębiły się w dzień. Na placach i w parkach płonęły ogniska, twarze lizał płomień dorzucanych kłód, strzelały wiązki słomy w ogniu, szerokim ruchem, jak od pożegnań wschodnich iskały się znużone ciała palmami ciężkich rąk w pogoni za wszami, wysokim łukiem splunięć bokiem od ognisk skracali sobie ludzie czas i skąpą, żołnierską rozmową, niebogatą w treść.

Aż któregoś tam dnia nastał spokój, względny spokój. Spłynęła fala, pozostał po niej w korytach ulic namuł zgiętych puszek po konserwach, tysiące pudów papierowych pudełek, śmiecia, odpadków, pakuł i połamanych podków. Jakieś resztki wielkiego przemarszu, odcięte kiści ogonów, pojedyncze oderwane zwoje węża przemigały w słońcu, stapiały się ze wzniesionym kurzem i kładły się cieniem ku zachodowi. W mieście grzebano w ogródkach trupy, tak, między domami, doraźnie, pod złotymi gwiazdami i krzyżykami, na białym skrawku papieru pod najbliższy deszcz gryzmolono imię i nazwisko, o ile były wiadome i niewiele więcej. Czasem przybijali gwoździem fotografię do słów, aby deszcz miał z czym poigrać, gdy się w umówiony dzień spotkają na tym miejscu.

W samym mieście wyleźli na powierzchnię ci wszyscy, którzy przez lata najazdu hitlerowskich band, schowali się pod ziemię, po mysich dziurach. Poznawano ich po cerze, po ruchach spłoszonej zwierzyny, oglądano się za nimi. Niewielu ich było, ale jako gatunek wymarły, narzucali się wyostrzonej na hitlerowskiej osełce spostrzegawczości ludzkiej, wpadali w oczy jak ludzie w kostiumach z zapomnianej epoki. Ich twarze, mimo tutejszości, były z nieprawdopodobnego wydarzenia, wyrwane z kontekstu historii, przeżyły swoją własną śmierć i zginęły w pamięci. Patrzono na nich, jak na wskrzeszonych nieboszczyków, którzy będą odtąd straszyć. Przezroczyści byli i anemiczni, marynarze z łodzi Charona, wyrzuceni na ląd. Wychodzili z bram i oglądali się poza siebie, czy ich kto w ostatniej chwili nie upomina, żeby się cofnęli i nie narażali na niechybną śmierć. Stawiali nogi jak marynarze, ziemia się jeszcze nie dochwiała do końca. W błyskawicznym rzucie oka obliczali, ile każdy przebyty teraz milimetr od schowka do bramy kosztował ich prywacji, nieprzespanych nocy, nadsłuchiwań z sercem, bębniącym w uszach, ile najedli się gorzkiego strachu, nim się doczekali tej anabazy kilkometrowej z podziemia na światło dnia.

W tych pierwszych dniach po odejściu Niemców z miasta, po wyciśnięciu ich z bram, okien, z soczewek zwężonych oczu, ze świadomości tych, co się pogodzili z losem, ze ściśniętych piersi niewolników, przez wojska sowieckie, ulicami miasta przechodziły wolnym krokiem małe grupy, trójki żołnierzy-domokrążców. Uzbrojeni byli w długie żerdzie. Szperacze min. Wchodzili do domów, do obejść, do gmachów, przeszukiwali dom od stóp do głowy, a gdy odchodzili, przybijał jeden z nich do ogrodzenia czy bramy prostą deszczułkę, często nieheblowaną, z niebardzo kaligraficznym napisem w rosyjskim języku, wykonanym przy pomocy poślinionego chemicznego ołówka o zdartym końcu: „Min njet", z podpisem komendanta. Dom jak po dżumie, uznany był za wolny od min. I nasz dom odwiedziła taka drużyna. Weszli do mieszkania, pozdrowili, pooglądali, trochę się rozgościli, napili się wody, jeden z nich usiadł przy moim biurku w gabinecie, znalazł na stole stary numer „Prawdy", czerstwy od długiego transportu, podumał nad nim i tak nie doczekali się przyjścia komendanta. Następnego dnia przyszli z komendantem, aby dopełnić formalności. Należało wypisać deszczułkę. Komendant, młody, sympatyczny inżynier z Moskwy, porucznik, ułożył protokół, napisem: „Min njet" podpisał się i dom był wolny od uroków wojennych. Ucięliśmy sobie z miłym porucznikiem niedługą rozmówkę, coś tam patrząc na moją bibliotekę wspomniał o książkach, pożegnał się i poszedł.

Nie minęły dwadzieścia cztery godziny, gdy zjawił się znowu u drzwi mimo pięknej deszczułki z napisem „Min njet" na bramie i to nie sam, ale z drugim. Obaj bez żerdzi, w dobrze skrojonych mundurach, z odznaczeniami na piersiach. Trochę zażenowani, trochę oficjalni. Inżynier przedstawił swego towarzysza. Mówili mu sąsiedzi, że jestem pisarzem, więc sprowadził do mnie swego towarzysza broni, porucznika tejże Armii Radzieckiej, czuwaskiego literata, aby nas ze sobą zaznajomić. O Czuwasach czytałem kiedyś przed pierwszą wojną światową, czy nie w „Troje" Gorkiego, że stopień zacofania tego szczepu za czasów caratu był tak wielki, że wraz z Mordwinami należeli do najciemniejszych elementów, najtrudniejszych i najbardziej zabobonnych. A tu przede mną stał smukły młodzieniec, niebieskooki, płowowłosy, wysportowany, wzór europejskiego intelektualisty, jak się po kilku chwilach mogłem przekonać, oczytany w kilku literaturach, znający amerykańskich pisarzy, od Dreisera po Steinbecka, jak pisarzy rosyjskich, mówiący z niezwykłą swadą o prądach literackich i filozoficznych, o Mickiewiczu i Prusie, dojrzały owoc kilkoletnich zabiegów cywilizacyjnych rewolucji październikowej. Zaprosiłem go, aby mnie jeszcze raz odwiedził. Inżynier z Moskwy był bardzo z siebie zadowolony, że nas z sobą spiknął.

Parę dni później mój czuwaski przyjaciel przyszedł ponownie z wizytą. Tym razem bez inżyniera-szperacza min, a nie przygód literackich. Wypytywał mnie mój gość, czy powstał już oddział pisarzy związku, popijał ze mną niezbyt słodzoną herbatę i dowiadywał się, jak tam z aprowizacją. Trudno, w pierwszych dniach po przepędzeniu Niemców żywności było mało, nie wypiekano chleba, magazyny plądrował motłoch, na wojnie jak na wojnie. Pod kulami urwał się nawet pasek, czarny rynek przywarował, rubli nie było jeszcze w obiegu, hitlerowski złoty był zdeprecjonowany i skazany na rychłą śmierć. Informowałem mojego gościa o znaczeniu moralnym odsieczy radzieckiej dla ludzi lewicy i o jej materialnej sile regeneracyjnej dla wszystkich tych, co cierpieli, czekali, nie tracili nadziei, nie pogodzili się z wrogiem. Do chwilowej niedoli żywnościowej nikt z tych ludzi żadnej nie przywiązuje wagi. Ważne było, że oto z piwnic, nor, zamaskowanych skrytek wyszli na świat ludzie, rozbitki, sieroty bez całych rodzin, jednostki o zwichniętej, zdawało się, wierze w przetrwanie, w godność człowieka, że dzięki radzieckiej odsieczy zmora nagłej śmierci, zagazowań, rozstrzeliwań w bramach domów, żywych pochodni Hitlera, łapanek, obozów, ustała i skończyła się. Nie samym chlebem się żyje. Żyło się odtąd nowoodkrytym prawem do życia. W tym prawie nawet biologicznie zawarte były miliony ożywczych kalorii.

Mój czuwaski przyjaciel pożegnał się i poszedł. Wrócił po paru dniach. Przez otwarte na aleję kasztanową okno zawołał kogoś po imieniu. Potem opuścił mój gabinet i wybiegł. Po kilku minutach wraz ze swym podkomendnym zaszedł do kuchni. Trudno, bardzo trudno było w mieście o chleb. Nie widzieliśmy go przez szereg dni. Przyniósł mi dziesięć dwukilowych bochenków. Byłem wzruszony. Zaskoczył mnie swoją dobrocią. Odmawiałem przyjęcia i dziękowałem za pamięć.

„My pisarze jesteśmy braćmi" — uspokajał mnie mój gość. Dziesięć chlebów przedstawiało wówczas większą wartość niż nagroda Nobla. Ofiarodawca zawstydzony był moim wzruszeniem. Wmawiał we mnie, że to rzecz bez znaczenia, minimalna, niegodna wzmianki, przeceniał moją wdzięczność, aby obniżyć swój uczynek.

Dwa chleby z dziesięciu podarowałem tego samego dnia dozorczyni. Jej trzyletni Staszek ze skibą tego chleba w ręku uganiał po podwórku, wywijając nią jak dyskiem w powietrzu za każdym razem, nim spory odgryzał kęs. Tak słonku prezentował swoją zdobycz. Czuwaski poeta, Aleksander G. Ałga złamał się chlebem ze mną, moją rodziną, ze Staszkiem i jego matką. Był to pierwszy nasz chleb codzienny, „chleb nasuszny" po odpędzeniu niemieckich morderców, chleb porucznika Armii Radzieckiej, poety, który recytował mi swoje wiersze w niezrozumiałym dla mnie języku jego narodu, który poprzez ten chleb zrozumiałem. Chleb człowieka, wychowanego w poczuciu obowiązków wobec bliźnich, choćby byli z najbardziej odległych stron, który pierwszy po ciężkich latach hitlerowskiego mordu masowego przyniósł mi do domu ze Wschodu radosną nowinę:

„WSZYSCY PISARZE SĄ BRAĆMI".

Mieczysław R. Frenkel.

ALEKSANDER ROMBOWSKI

»Z bladych warg mdły śpiew ucieka«



Józef Lompa — Rys. Lucyna Wranik

W Warszawie mieszkał przed laty literat, lekarz Janusz Ferdynand Nowakowski (1832—1883). Pisywał on w „Bibliotece Warszawskiej", w „Tygodniku Illustrowanym", w „Kółku Domowym", w „Gazecie Polskiej" i w „Gazecie Warszawskiej". Nowakowski w młodości swej odbył kilka podróży: na Litwę[1]), do Czech i Łużyc w r. 1860[2]), a latem 1861 r. bawił na Dolnym Śląsku[3]).

Wracając w roku 1860 do kraju zawadził Nowakowski o Śląsk i zawitał do Woźnik, gdzie mieszkał pisarz górnośląski, Józef Lompa. Odwiedziny te opisał Nowakowski w „Kurierze Wileńskim" z r. 1860, a następnie opis ten wydał w odbitce.

W r. 1863 umarł Lompa. „Gazeta Warszawska" umieściła naprzód krótką notatkę o tym wydarzeniu[4]), a zaraz potem artykuł z życiorysem Lompy i ze spisem jego dzieł[5]). Na tym nie koniec: Wkrótce odezwał się na łamach „Gazety Warszawskiej" **J. F. N.** i podał nie tylko uzupełniający (do poprzedniego artykułu o Lompie) spis dziełek Lompy, ale nadto urywki z listów Lompy i trochę wspomnień[6]). Zdanie artykułu: „Pamiętam, że w r. 1860, chodząc z nim (z Lompą; przypisek Rombowskiego) po pobliskich wioskach Woźnik"... i podpis **J. F. N.** pod artykułem świadczą dowodnie, iż autorem artykułu tego był Janusz Ferdynand Nowakowski: On bowiem, a nie kto inny odwiedził Lompę w Woźnikach w r. 1860.

Z artykułu Nowakowskiego z r. 1863 — znanego mi zresztą sprzed wojny — podaję teraz urywki listów Lompy i wspomnienie Nowakowskiego o Lompie, to i tamto nieznane w literaturze przedmiotu. Te fragmenty listów uzupełniam wyimkami z listów Lompy z „Gazety Warszawskiej" (1860—1861 r.), które są przecież niczym innym, jak tylko tymiż listami Lompy do Nowakowskiego, o czym więcej nieco napiszę niżej.

Listów Lompy posiadał Nowakowski — jak sam podaje — wiele. Oryginały tychże jednak dotąd się nie znalazły. Przesyłał w nich Lompa Nowakowskiemu swoje wiersze, spis rękopisów i dziełek swoich[7]). Przesyłał same dziełka swoje, a nawet wysłał na pamiątkę swą tabakierę, wysadzaną muszlami. Tę przekazał Nowakowski Muzeum przy Towarzystwie Naukowym w Krakowie. Cennej tej pamiątki narodowej — będąc w tym roku w Krakowie — na próżno poszukiwałem w Pol. Akademii Umiejętności — spadkobierczyni Towarzystwa Naukowego w Krakowie. Co zawierały **wszystkie** listy Lompy do Nowakowskiego, niestety, nie wiemy. W związku z tymi listami pisze Nowakowski w następujący sposób: „Biadał tylko autor ciągle, że nakładcy na te prace[8]) nie mógł znaleźć. Z tych listów dopiero widać, w jakim niedostatku Lompa zostawał, ile mu udręczeń przynosiły: jego biedny stan i otaczający żywioł germański, przeciw któremu całe długoletnie życie skutecznie walczyć musiał. Nie dość — pisze Nowakowski — że go usunięto od obowiązków nauczyciela elementarnego, pozbawiono pensji, ale nadto przy najmniejszej sposobności wytaczano mu procesa o drobnostki, a nawet skazywano na pieniężne kary w talarach. Cóż dziwnego, że ten człowiek biadał i zdawał się być naprzykrzonym tym, co po smacznym obiedzie, z cygarem w ustach, jego listy czytali?" „Skoro tylko z odbioru — pisze w innym miejscu artykułu Nowakowski — zasiłków, a następnie z otrzymania zapisu śp. Konarskiego, w ilości złp. dziesięć tysięcy, los się jego zmienił o tyle, że zaczęty dom mógł dokończyć, zmieniła się i barwa jego listów, z błagalnych stały się dziękczynne, donosi np., że na cześć Konarskiego urządził w Woźnikach wystawne nabożeństwo i że **sam grał na organach.** Później nawet już zaprzestał wpierw tak liczne listy pisywać, co jest najlepszym dowodem, że tylko bieda do tego go zniewalała". Z tej garści uwag Nowakowskiego możemy wysnuć nieco tylko wiadomości o treści całości korespondencji Lompy z Nowakowskim.

A teraz przejdziemy do urywków listów Lompy do Nowakowskiego:

W związku z niemożliwością znalezienia nakładców na rękopisy swe, pisze w r. 1860[9]) Lompa do Nowakowskiego:

„Z tej przyczyny upada wszelka chęć do dalszych prac. Autorstwo sprawia ubogiemu wiele kłopotów, potrąca[10]) go w nędzę i sprowadza mu skon przedwczesny. Wielu ludzi, co by mogli swoim zbytkiem wspomagać literaturę, wolą za psy od 50 do 150 talarów płacić. Nader ciężkie jest położenie, albo raczej poświęcenie biednych literatów, lecz i tacy być muszą, bo by bez dilettantów literatury, takowa ubożuchną by była". Taki fragment z listów Lompy podał Nowakowski jeszcze w r. 1860 w artykule pt. „Odwiedziny u Józefa Lompy".

Przechodzimy z kolei do wyimków z listów Lompy w „Gazecie Warszawskiej".

W jednym z listów żali się tak Lompa:

Mnie skwar cierpień myśli spieka
We mnie krzepną wyższe tchnienia,
Z bladych warg mdły śpiew ucieka.
Duch się chyli do zwątpienia.
Człowiek wiekiem skołatany;
Gdy mu razem głód dokucza[11]),
Jakby wiatrem wiór miotany
Rozpaczliwie w kał się rzuca.
Święty stróżu, mój aniele,
Wstrzymaj mnie od tego kroku;
Chrońcie mili przyjaciele,
Stańcie przy mym boku!

Ale warszawianie ociągali się z pomocą, toteż autor górnośląski skarży się **w liście z Woźnik z dn. 18 października 1860 r.:**

„Wierzę Panu, że jęki i prośby moje zniechęciły poniekąd współczucie dla mnie tych, którzyby mnie wesprzeć mogli; przecież ze swej strony tylko westchnąć muszę: „Nie rozumie nigdy syty głodnemu".

Ach! Mój miły Boże!
Cóż bieda nie może.
Wieje wiatr przez ścierniska,
I szepce, że zima bliska,
Mnie dreszcz zimny przechodzi
I ponure myśli rodzi.
Wiatr huczy w gęstym lesie,
Mnie smutny obraz niesie;
W nim wielką widzę trwogę,
Której przenieść nie mogę,

Brak drzewa i żywności
Przeraża me namiętności;
W tym więc sztuka zależy:
Znieść, co się na mnie jeży.

W takiej doli trudno mi o pomoc się uciekać do Niemców, bo by się tylko ze mnie natrząsali. [Dziękuję wszystkim dobroczyńcom, którzy się chętnie na datki ku wspomożeniu memu przychylili.][12]). Wiem[13]), jak teraz skąpo o pieniądze[14]), czuję[15]) jednak[16]), że się już dobrodusznym ludziom niedługo o zasiłki[17]) naprzykrzać będę, bo wkrótce duch mój z tym światem się rozstanie i w inne sfery się przeniesie. Napisałem sobie już w myśli Gellerta następujący napis grobowy[18]):

Tu leży autor górno-szląski,
Co pisał ziomkom polskie książki;
Lecz oni wcale go nie znali,
Bo jego dziełek nie czytali;
Boć to prorok w rodzinnym kraju,
Tyle znaczy co ptaszek w gaju,
W ciężką nędzę wciąż pogrążony
W nieznane przeniósł się strony,
Ufny, że tam za swe prace
Nagrody sobie wykołace[19]).

— Odtąd streszcza Nowakowski list Lompy w ten sposób: „Dalej następują wyrzekania na domowe kłopoty i te słowa:

„Zamyślam Panu przesłać wszystkie moje rękopisma, w celu wydania ich pośmiertnego".

Zamiaru tego jednak nie wykonał.

Zdawało się, iż przeczucia Lompy się spełnią: **W lutym [?][20]) 1861 r. pisze Lompa:**

„Od[21]) kilku dni bardzo jestem słaby[22]), jutro będę się spowiadać i komunikować[23]), bo się śmierci obawiam. Wypłacam dziś do ostatniego grosza długi.

Cóż mam czynić? Czy z temi, co mnie zwodzili,
Puszczać się w odmęt Scylli i Charybdy groźny,
W którym inni nieuważnie się zatopili,
Czyż czekać w niecierpliwości, aż przybędzie woźny,
Co mnie odda Charonowi w ostatniej chwili?
Niech tak będzie, — bo na schyłku ratunek późny.

Na Ś-ty Jan, jeżeli dożyję, dom mi za pomocą dobroczyńców będzie zupełnie gotowy,[24]) a w takim razie pobierając do 60 talarów rocznej dzierżawy, w skromności mojej snadno się utrzymam."] [25])

Żyć pożył jednak Lompa jednak jeszcze, ale zgryzot mu nie zabrakło. Władze pruskie go szykanują i trzymając się dosłownie litery zarządzeń skazują go na karę pieniężną. Chodziło o kilka nieznacznych odręcznych poprawek na drukowanych egzemplarzach „Odwiedzin u Józefa Lompy". Lompa posłał pocztą takie egzemplarze. Wobec tego — iż według przepisów pocztowych nie wolno było — na drukach pod opaską wysyłanych — nic pisać — Lompę obłożono karą pieniężną. Nic nie pomógł ani sąd zwykły, ani apelacyjny, Lompa **ostatecznie[26])** przegrał. W związku z przegraną sprawą w sądzie apelacyjnym **pisze Lompa do Nowakowskiego, w dniu 23 września 1861 r.:**

„W sądzie apelacyjnym przegrałem proces. Prokuratorowi zapłaciłem talara, muszę jeszcze zapłacić 5 tal[arów] kary i 3 tal[ary] kosztów. O miły Boże! a ja tu nie mam za co drzewa kupić. Zlitujcie się nade mną, inaczej bowiem chociażbym miał bez koszuli zostać, zapłacę a do kozy nie pójdę". — Tyle z korespondencji.

Dalej mamy jeszcze u Nowakowskiego parę ważnych wspomnień o Lompie: **„Znaczenie jego w miejscu pobytu** — pisze Nowakowski — **nie szło w parze z rozgłosem. Kraj cały znał i cenił maluczkie choć wielkie w skutkach zasługi Lompy, ale najbliżsi niezbyt go cenili, bo był biedny. Pamiętam, że w r. 1860 chodząc z nim po pobliskich wioskach Woźnik, zapytałem żony pewnego kmiecia, czy wy tego znacie? a ona wobec Lompy rzekła: „Któżby zaś tego dziada nie znał". Być może** — pisze Nowakowski — **iż nie raz go jakim małoznacznym datkiem wsparła. On sam się nie cenił wedle swej wartości — trudno się w nim było dopatrzyć jakiejś przybranej powagi, napuszystości. Był to najprostszy[27]) człowiek — pracował od rana do nocy, bo praca i nauka stały się jego duszy potrzeba..."** Co do dziełek Lompy pisze Nowakowski: **„... Wszystko tanio sprzedawał po parę groszy, aby ludzie jak najwięcej czytali".**

Wreszcie kończy w r. 1863 Nowakowski artykuł swój charakterystyką Lompy, charakterystyką, która jest pięknym uzupełnieniem do znanej fotografii Lompy i do znanych dotąd wspomnień N. Nowakowski pisze więc o Lompie: **„Charakteru był łagodnego,[28]) postawy nieokazałej, niski, pękaty, szyja bardzo krótka, tak zwana apoplektyczna, twarz okrągła, czerwonymi plamami i brodawkami okryta, z tym wszystkim w czasie rozmowy przyjemnie się ożywiająca. Najczęściej chodził w brązowej kapocie i starym, z wielkim obwisłym rondem kapeluszu, wspierając się na kiju.[29]) Był rzeźki i zdawało się, że jeszcze wiele lat pożyje."**

Objaśnienia

1) „Biblioteka Warszawska" 1857 I 561—597, II 86—110, III 139—185.

2) Por. wrześniowy zeszyt „Biblioteki Warszawskiej" z r. 1860, III 724 (wyjątek z listu Ferdynanda Nowakowskiego) i „Kurier Wileński" z roku 1860, nr 96, 6 grudnia, s. 984 (przedruk z odbitki z „Kuriera Wileńskiego" w „Zaraniu Śląskim", 1947, zeszyt 3, s. 153).

3) Zob.: „Gazeta Warszawska", 1861 roku, nr 218 z 12 września, s. 3, korespondencja z Wrocławia, z podpisem: J. F. N. — W dalszych wywodach wykażemy, iż pod kryptonimem J. F. N. ukrywał się (w „Gazecie Warszawskiej") Janusz Ferdynand Nowakowski. Korespondencja ta w „Gazecie Warszawskiej" nr 218 z 1861 r. jest dalszym ciągiem korespondencji niepodpisanych w numerach 187, 189 i 216 tejże gazety. Wszystkie więc te korespondencje są pióra J. F. Nowakowskiego.

4) „Gaz. Warsz.", nr. 78, 7 kwietnia 1863 r., s. 1.

5) „Gaz. Warsz.", nr. 79, 8 kwietnia 1863 r., s. 1—2.

6) „Gazeta Warszawska", nr. 83, 13 kwietnia 1863 r., s. 1—2: J. F. N.: Dzieła ś. p. J. Lompy. Janina Ender: Józef Lompa, Katowice—Wrocław, 1947, s. 103, pisze: „Śmierć Lompy w prasie polskiej przeszła niemal bez śladu". Jest to oczywiście niezgodne z prawdą. O Lompie, z powodu jego zgonu, pisała wielokrotnie — jak widzimy — „Gazeta Warszawska", a nadto i inne czasopisma. „Gazetę Warszawską" nr. 83 z r. 1863 wymieniłem zresztą w przypiskach do „Listów J. Lompy do Jul. Bartoszewicza". Maszynopis tej pracy miała w rękach p. Ender Janina.

7) Spis dzieł Lompy w „Gazecie Warszawskiej" z r. 1863, nr. 83 jest uzupełnieniem takiegoż spisu w „Gazecie Warszawskiej" nr. 79 z r. 1863. Jest to zresztą ten sam spis — z pewnymi opuszczeniami — co w „Kurierze Wileńskim" z r. 1860, s. 1005. Nowakowski pisał w r. 1863 („Gaz. Warsz." nr. 83, s. 1), że tytuły tak rękopisów, jak i dzieł Lompy „wypisał własnoręcznie" sam Lompa „w jednym z licznych do mnie pisanych listów". Spis więc dzieł Lompy tak w „Gazecie Warszawskiej" z r. 1863 (nr. 83), jak i w „Kurierze Wileńskim" z r. 1860 (nr. 98, 13 grudnia, s. 1005) mają — jako pochodzące od samego Lompy — znaczną wartość bibliograficzną. Wielka tedy szkoda, iż w „Zaraniu Śląskim" z r. 1947 nr. 3 w „Odwiedzinach u Józefa Lompy"... nie przedrukowano spisu dzieł Lompy z „Kuriera Wileńskiego" z r. 1860.

8) na te prace = na prace Lompy w rękopisach.

9) Wiązkę urywków listów Lompy, drukowanych w „Gazecie Warszawskiej", uzupełniamy wyimkiem z listu Lompy, drukowanym w „Kurierze Wileńskim" z r. 1860 (nr. 99 — 16 grudnia s. 1014). Zwrot tamże: „...wyjątek z listu, jaki ostatnio od p. Lompy otrzymaliśmy — świadczy, że list ten był datowany w r. 1860.

10) potrąca = wtrąca.

11) „Człowiek wiekiem skołatany;
Gdy mu razem głód dokucza...
Ten dwuwiersz zacytował Nowakowski w „Odwiedzinach u Józefa Lompy" („Kurier Wileński", 6 grudnia 1860 r., nr. 96 s. 984).

12) W kwadratowych nawiasach dajemy uzupełnienie z wyimków z listów J. Lompy w „Gazecie Warszawskiej" z l. 1860—1861, gdyż wyimki te — w odpowiednich częściach — równają się mniejwięcej urywkom listów Lompy w „Gazecie Warszawskiej" z r. 1863 (nr. 83).

W tym miejscu uzupełniamy z „Gazety Warszawskiej" nr. 282 — 25 października 1860 r. s. 5. gdzie się podaje iż redakcja otrzymała „w tych dniach" list J. Lompy. Zwrot „w tych dniach" także pozwala nam na zidentyfikowanie urywku z „Gazety Warszawskiej" z r. 1863 (nr. 83). Daty bowiem: 25 października 1860 (data druku) i data wysłania listu Lompy: 18 października 1863 r. wskazują, że jest to jeden i ten sam list: Oczywiście jeśli uwzględnimy zwrot „w tych dniach".

W ten sposób **Lompa był i współpracownikiem „Gazety Warszawskiej"** o czym dotąd nigdzie nie pisano.

13) W „Gaz. Warsz." z roku 1860: „Wiemci ja dobrze, jak teraz"...

14) **o pieniądze** = „o wszystko" w „Gaz. Warsz." z r. 1860.

16) **czuję** = „uczuwam" w „Gaz. Warsz." z r. 1860.

16) **jednak** = „jednak zarazem" w „Gaz. Warsz." z r. 1860.

17) **niedługo o zasiłki.** W „Gaz. Warszawskiej" z r. 1860 (nr. 282) brak „o zasiłki".

18) **następujący napis grobowy** = „następującą pieśń pogrzebową" w „Gaz. Warsz." z r. 1860.

Przed wierszem jest w „Gazecie Warszawskiej" z r. 1860 (nr. 282) tytulik: **„Nagrobek dla Józefa Lompy".**

19) Wiersz ten nagrobkowy jest dosłownie podany w „Gazecie Warszawskiej" z r. 1860 (nr. 282), ale **nie powstał on w r. 1860, jak pisze Lompa** gdyż już w liście do Juliana Bartoszewicza (dotąd niedrukowanym) z dnia 27 maja 1856 r. pisze sam Lompa: „Dziś napisałem sobie nagrobek", potem następuje wiersz ten sam, który tu wydrukowaliśmy, a który zaczyna się od słów „Tu leży autor górnośląski"... Wiersz ten z r. 1856 ma nieliczne odmianki.

Por. też: „Biblioteka Warszawska", 1860, IV 463.

20) Wyimek z listu Lompy do Nowakowskiego, podany niżej, jest zgodny na ogół z urywkiem — listu Lompy — ogłoszonym w „Gazecie Warszawskiej" z r. 1861 (Nr. 50, 22 lutego, s. 6), gdzie redakcja podaje: „W liście ze Szląska, od Józefa Lompy otrzymanym, czytamy"... Wobec daty druku wydaje się rzeczą prawdopodobną, iż list ten pisał Lompa w lutym 1861 r.

21) **Od** = „Dziś od" w „Gazecie Warsz." z r. 1861 (nr. 50).

22) **jestem słaby** = „słaby jestem" w „Gaz. Warsz." z r. 1861 (nr. 50).

23) **będę się spowiadać i komunikować** = „chcę iść do spowiedzi i komunii ś-tej" w o. c.

24) W lipcu 1861 roku Lompa miał już dach — jak doniósł Jul. Bartoszewiczowi — na swym domu.

25) W klamrach mieści się uzupełnienie listu według „Gazety Warszawskiej", nr. 50 z 22 lutego 1861, s. 6.

Z dotychczasowego wywodu widzimy, iż **Nowakowski oddawał fragmenty listów Lompy do druku w „Gazecie Warszawskiej".**

26) Sprawę przesyłki egzemplarzy „Odwiedzin"... przedstawiono — zresztą nieściśle, niedokładnie i częściowo błędnie — w „Zaraniu Śląskim" z r. 1947, nr. 3, s. 153 i u Janiny Ender: Józef Lompa, 1947, s. 97.

27) W druku jest „najprostszy".

28) Przy powierzchownym zetknięciu Lompa mógł czynić wrażenie człowieka łagodnego, ale nie po bliższym poznaniu. Por. rękopis L. 54 w Archiwum Państwowym w Katowicach.

29) **na kiju,** a właściwie na lasce, jak to widzimy na fotografii ówczesnej.

Aleksander Rombowski

Wielkie dni Wrocławia i urocze dni w Dusznikach

Wrocław przeżywa swoje wielkie 100 dni: Wystawa Ziem Odzyskanych, Kongres Intelektualistów.

Imprezy artystyczne sypią się jak z rogu obfitości: zjechała Opera Śląska, w Hali Ludowej Filharmonia Wrocławska organizuje koncerty na rzecz Warszawskiego Domu Muzyków, Państwowy Teatr Dolnośląski gra w Teatrze Popularnym i w salach ratuszowych, otwarto dwie wystawy obrazów, wystawy książek — nie rzadko staje się przed pytaniem: co wybrać? gdzie pójść? „I to pachnie i to nęci" jak powiedział pewien czworonożny filozof.



Jadwiga Przeradzka: Projekt kostiumu Fircyka do „Fircyka w zalotach"

Zacznijmy więc od Państwowego Teatru Dolnośląskiego. Projektów repertuarowych na okres Wystawy Ziem Odzyskanych było dużo, ostatecznie na sierpień duży Teatr zajęła Opera Śląska, Kurnakowicz wyjechał kręcić film i zostały w repertuarze 2 sztuki, które wystawiono w Teatrze Popularnym: „Świerszcz za kominem" Dickensa i „Fircyk w zalotach" Zabłockiego". Za to obie sztuki zrobione były bardzo starannie. Reżyserka M. L. Jabłonkówna jeszcze raz wykazała niezwykłą intuicję i inteligencję. Obie inscenizacje posiadały oryginalną i przemyślaną koncepcję. Stylowe, ładnie rozwiązane dekoracje i piękne stroje Langego i Przeradzkiej przyczyniły się do podniesienia nastroju, jakiego wymaga realizacja sztuk kostiumowych. Szczęśliwie obsadzeni wykonawcy stworzyli pełne wyrazu postacie. W „Świerszczu" zobaczyliśmy wyrazistego M. Nowickiego (Jan), milutką L. Burzyńską (Mary),



Teatrzyk Chopina w Dusznikach-Zdroju

b. dobrego w masce B. Brońskiego (Tackelton), wzruszających szczerością M. Serwińskiego (Kaleb) i M. Chodecką (Berta), zabawną J. Bolską (P. Fielding), A. Burczyk (May), J. Przybylskiego (Nieznajomy), komiczną S. Grochowską (Tilly), O. Królikowską (Świerszcz), J. Pietraszkiewicza (Prolog) i K. Herbę (Służący).

W „Fircyku" pięknie mówili wiersz stylowi w geście i mimice J. Pietraszkiewicz (Fircyk), Halina Świątek-Dzieduszycka (Podstolina), Anna Jakowska (Klaryssa). Tryskające humorem sylwetki stworzyli B. Broński (Aryst), M. Nowicki i J. Sobieraj (zabawna para służących) oraz K. Herba (Prawnik).

Dłużej zatrzymam się nad trzecią sztuką, zrealizowaną przez Państwowy Teatr Dolnośląski w salach ratusza wrocławskiego. „Farsa o mistrzu Pathelin" znalazła w przepięknej, gotyckiej architekturze stosowną oprawę. Dyr. Jerzy Walden reżyserując „Pathelina" poszedł po linii jak największej prostoty i skonstruował zadziwiające w szlachetnej naiwności cacko, skrzące się niewymuszonym dowcipem.

Nastrojowe otoczenie, wejście przez sale muzealne, prymityw szczegółów dekoracyjnych, ograniczonych jedynie do najniezbędniejszych sprzętów i piękne kostiumy J. Szeskiego, stworzyły doskonały klimat, w którym to arcydzieło średniowiecznej, francuskiej literatury teatralnej rozwijało się przed naszymi oczyma, jak ożywione ryciny, malowane ręką mistrzów XV wieku.

Wykonawcy stylizując ruch i mimikę mówili doskonale przetrudny, bo naszpikowany staropolską gwarą tekst (wspaniałe spolszczenie A. Polewki), odtworzyli całą galerię kapitalnych typów. Chytrego, przemądrzałego mistrza Pathelina zagrał Z. Karczewski, zaskakując wprost bogactwem mimiki i barwnością głosu. Zamaszystą Wilhelminą była M. Nochowicz (co za wspaniałe studium śmiechu!). Jerzy Walden jako oszukany, bezradny Sukiennik jeszcze raz wykazał niepospolitą „vis comica", szczęśliwie rozwiązując niebezpieczny eksperyment bezpośredniego kontaktu z widownią. Bardzo dobrym „chłopkiem-roztropkiem" był M. Słojkowski, przezabawnym w dobrodusznej powadze Sędzią J. Bukowski. Nawet milczący pachołek M. Mroczko wzbudzał szczerą wesołość nieruchomą i namaszczoną twarzą.

Gdy średniowieczne mury ratusza gościły zespół Państwowego Teatru Dolnośląskiego, w sali Wielkiego Teatru — jak już wspomniałem — występowała Opera Śląska, dając bardzo staranne spektakle, wśród których stare włoskie opery „Don Pasquale" Donizettiego i „Cyrulik Sewilski" Rossiniego stały na wręcz doskonałym poziomie.



Jadwiga Przeradzka: Projekt kostiumu Podstoliny do „Fircyka w zalotach"

Reżyserzy: A Popławski i K. Cyganik z wielkim pietyzmem wydobyli czar opery małego formatu, ożywiając nie tylko solistów ale i poszczególne postacie chóru, dając czyste i pełne uroku przedstawienia. Inscenizacja innych spektakli jak „Aida", „Faust", „Halka", „Cyganeria" czy balet „Pan Twardowski" cieszyły oko barwnością i ruchliwością sceniczną, ale nie odbiegały od tradycjonalnych form operowych i niejednokrotnie osiadały na mieliźnie „wampuki".



Farsa o mistrzu Piotrze Pathelin. Reż. Jan Walden, kostiumy J. Szeski. Pathelin — Zdz. Karczewski, Wilhelmina — M. Nochowicz.

Żelaznym fundamentem Opery Śląskiej są jej młodzi, utalentowani soliści, obdarzeni pięknymi głosami, dobrą aparycją i zdolnościami scenicznymi. J. Lachetówna, B. Kostrzewska, Denis-Słoniewska (fenomenalny alt), A. Hiolski, L. Fince, Cz. Kozak, A. Majak, to już artyści „całą gębą", których nie powstydziłyby się najlepsze sceny operowe.

O pozostałych imprezach we Wrocławiu napiszę innym razem. Obecnie pragnę przenieść się do uroczego parku zdrojowego w Dusznikach, gdzie odbył się III Festival Chopinowski.

Przepiękne otoczenie, pamiętne okolice, znane tak dobrze z listów Chopina, wspaniała muzyka, w której nurzaliśmy się przez cztery dni, sprawiły, że chwile, spędzone w gościnnych Dusznikach, pozostawiły niezatarte wrażenie wzruszeń artystycznych najwyższego rzędu.

W małym, empirowym teatrzyku Chopina, w którm 122 lata temu dał pierwszy swój publiczny recital zagraniczny szesnastoletni „Frycek", w pięknej, lustrzanej sali Domu Zdrojowego i wreszcie wśród starych drzew parku na wolnym powietrzu wystąpili w sześciu niezapomnianych koncertach: Raul Koczalski, Regina Smędzianka, Władysław Kędra, Zbigniew Szymonowicz, Aniela Szlemińska i prof. Jerzy Lefeld.

Mając możność bezpośredniego skonfrontowania gry seniora polskich pianistów, niezrównanego Raula Koczalskiego z grą młodych laureatów eliminacyjnego Konkursu Chopinowskiego, a zwłaszcza z bardzo nowoczesną grą Władysława Kędry, przypomniałem sobie niedawne i ciągle odzywające się polemiki na temat starego i nowego stylu grania Chopina. Mam wrażenie, że jeżeli artysta naprawdę czuje Chopina i daje głębokie przeżycie wewnętrzne, a nie fałszowaną czułostkowość — to obojętne jakim „stylem" gra. Takie wykonanie trafi zawsze do serca słuchacza i wywoła głębokie przeżycie artystyczne — a o to przecież przede wszystkim chodzi, zwłaszcza u Chopina.

Nie wiem, czy dzięki niezwykle miłemu nastrojowi, wytworzonemu przez gościnnych gospodarzy (Festivale Dusznickie organizuje Instytut Chopina wespół z Naczelną Dyrekcją Uzdrowisk), a może dzięki przepięknemu otoczeniu, czy wspomnieniom z zamierzchłych lat pobytu Chopina w tych stronach — czy też dzięki tym trzem czynnikom równocześnie, artyści byli w doskonałej formie. Tak granego Chopina nie często można usłyszeć. Prócz często granych utworów Chopina usłyszeliśmy również rzadko goszczące na afiszu w komplecie „24 preludia Op. 28" w wykonaniu wspaniałego pianisty Raula Koczalskiego, młodzieńcze „Wariacje Op. 2 na tematy Mozarta" i „Fantazje na tematy polskie" Op. 13 zagrane z wielkim polotem i lekkością przez Władysława Kędrę, któremu doskonale towarzyszył prof. Lefeld, oraz niestety prawie już zapomniane, a pełne wdzięku i uroku pieśni Chopina, śpiewane przez A. Szlemińską.



Przed teatrzykiem Chopina w Dusznikach. Od lewej Lefeld, Kędra, Szlemińska, Koczalski, Smędzianka, Szymonowicz

Niezapomniane dni w Dusznikach zamykały barwną klamrą wieczorne iluminacje strzelającej w ciemne niebo fontanny, feeria światła i kształtów — po feerii tonów...

Wojciech Dzieduszycki.

Wrocław



Olimpiada pokoju i postępu (Kulturni Politika)

W trzy lata po zakończeniu drugiej wojny światowej, w trzy krótkie lata zeszli się intelektualiści całego świata pod sztandarami swych narodów we Wrocławiu, by radzić o walce i pokoju. Już samo to, że doświadczenia trzech lat zgromadziły przedstawicieli kulturalnego świata z powodu stale grożącego niebezpieczeństwa nowej, jeszcze straszliwszej wojny, jest wydarzeniem w historii naszych lat i naszych dni nad wyraz donośnym i znamiennym. Wygłoszono tam pewne przemówienia, które brzmiałyby naprawdę interesująco, wzniośle i poetycznie, gdyby nie nasze wszystkie doświadczenia z mówcami lat ubiegłych i gdyby nie rozwój stosunków kulturalnych po drugiej wojnie. Kongres wrocławski to wydarzenie doniosłe, ale zarazem i wydarzenie ostrzegawcze. Nie na próżno podpisywaliśmy — my, wszyscy uczestnicy kongresu — jego rezolucję własnoręcznie. Nie na próżno przy głosowaniu nad rezolucją przewodniczący kongresu Fadiejew zwracał się do każdej delegacji i do każdego jej członka z osobna. Nie oskarżam uczestników kongresu o fałszywą grę, mimo że doświadczenia lat przedwojennych i wojennych nie pozwalają mi zbytnio wierzyć wszystkim intelektualistom, ich zdaniom i oświadczeniom. Nie obwiniam nawet tych, którzy pod wpływem amerykańskiego nacisku atakowali sprawiedliwy ustrój Związku Radzieckiego i państw ludowej demokracji. Ale rzecz niezwykle ważną było, że każdy z tych, kto głosował za rezolucją, podpisał się pod nią własnoręcznie. Wydaje mi się, że świat kulturalny będzie się czuł mocniej zobowiązany treścią rezolucji kongresu wrocławskiego, skoro własnoręcznymi podpisami potwierdzono to, po co delegacje narodów udały się do Wrocławia. Wydaje mi się, że podpis każdego z intelektualistów będzie zobowiązywał więcej, niż gdyby jednostki ukryły się za wspólnym podpisem delegacji. Kongres wrocławski ma wielkie znaczenie dlatego, że zaapelował do sumienia intelektualistów świata, by bronili swobodnego rozwoju i rozpowszechniania zdobyczy kultury w imię pokoju, postępu i przyszłości ludzkości. Kongres wrocławski istotnie przekonał swych uczestników o oczywistej niemożności uniknięcia walki przeciw organizacjom tej swobody. Przekonał ich o konieczności wzajemnego porozumienia pomiędzy kulturami narodowymi i narodami w interesie cywilizacji świata. Obudził w nich sumienie, które nie może dopuścić, by siły wyzwolone przez wiedzę współczesną służyły zniszczeniu i zagrażały życiu milionów ludzi.

Kongres odbywał się we Wrocławiu. I to było dla jego znaczenia bardzo ważne. Ci uczestnicy kongresu, którzy wolne chwile poświęcili na to, by uważliwymi palcami dotknąć ran tego miasta, by wyczuć u ludzi, którzy tu żyją, prawdy ich życia, ci słuchali mówców znacznie uważniej i czujniej niż ci, którzy całe zainteresowanie skupili wyłącznie na oświadczeniach sławnych twórców kultury świata. Gdy nad zgromadzeniem tym powiały sztandary 46 narodów, gdy wiatr symbolicznie jakby przemieszał ich barwy, dla uważnych uczestników kongresu stało się jasne, że kongres nie jest zwyczajnym zjazdem więcej lub mniej interesujących intelektualistów, lecz stworzył on prawdziwe sumienie świata, które z ruin Wrocławia rzuca ostrzegawczy sygnał naszym dniom. Kongresowi groziłoby, że stanie się akademickim zebraniem, gdyby nie było właśnie tej wrocławskiej rzeczywistości i gdyby nie było na nim przedstawicieli Związku Radzieckiego, w których słowach słychać było głos pokoju, głos zdrowych zasad moralnych, głos milionów pracujących dla socjalistycznego rozwoju świata. Gdyby nie było przedstawicieli narodów kolorowych, którzy stanęli u boku delegatów radzieckich i we wstrząsających przemówieniach dokumentowali swoją prawdę, prawdę Związku Radzieckiego, nie byłby kongres nabrał tak świetnego znaczenia, jakie zapewnia mu w historii świata podpisana przez 371 delegatów z całego świata rezolucja przeciw wojnie, za pokojem i postępem. To, że dwanaście głosów padło przeciw niej, że siedmiu delegatów wstrzymało się od głosowania, podkreśla tylko nastrój, w jakim odbywał się kongres, wrażenie, jakie sprawiło wystąpienie delegatów radzieckich i ich dzielnych partnerów z krajów kolonialnych, z demokratycznej Grecji i z szeregów demokratycznej Hiszpanii.

W dwóch ostatnich dniach kongresu manifestowała liga kobiet polskich i wrocławscy robotnicy swoje zdecydowanie w walce o pokój, przeciw wojnie. Były to imponujące manifestacje, w których ucieleśniała się prawda, o której radził kongres. Tysiące kobiet i dziesiątki tysięcy robotników i robotnic zgromadziły się, by wysłuchać przedstawicieli wszystkich narodów uczestniczących w kongresie i by swoją manifestacją dać wyraz jedności materialnych i duchowych sił świata. Tam w jednej z największych na świecie hal zgromadziło się ponad 20.000 robotników i robotnic pod transparentami, które głosiły hasła pokoju i humanizmu, a pod tym potężnym wrażeniem delegaci narodów wyjaśniali najkonkretniej zasadę zjazdu intelektualistów i jego cel. I tutaj przedstawiciele Związku Radzieckiego i narodów kolorowych komunikowali życzenia milionów. Myślę, że dzięki tym masowym manifestacjom kongres przeszedł do historii.

Aleksander Fadiejew zakończył kongres stwierdzeniem, że praca dopiero się zaczyna. We wszystkich narodach świata rzecz będzie teraz szła o to, by powstawały organizacje, które za swoje święte zadanie postawią sobie obronę pokoju. Będzie to praca trudna, zwłaszcza tam, gdzie narody cierpią gwałt imperialistów i podżegaczy wojennych. Ale będzie to praca, która doprowadzi na pewno do porozumienia międzynarodowego nie tylko intelektualistów, lecz i do międzynarodowego porozumienia wszystkich ludzi dobrej woli, wszystkich ludzi pragnących sprawiedliwego porządku świata bez wojennych katastrof.

E. F. Burian

Przemysław II

(Dokończenie ze strony 1)

ściany obijam się i wyjścia znaleźć nie mogę z kłębowiska myśli. Wszystko czego się tknę jest grzechem. Wszystko! Nawet Bóg rozbity na krzyżu, gdy go drżącą dłonią dotykam, zamienia się pod moim dotknięciem w widomy znak grzechu!

ANNA: *(szeptem)* Ludgarda?

PRZEMYSŁAW: *(szeptem)* Tak. *(milczenie)*

PRZEMYSŁAW: Anno, co to jest grzech?

ANNA: Różne są grzechy.

PRZEMYSŁAW: Co to jest zło?

ANNA: Różne są zła.

PRZEMYSŁAW: Czy zła droga może prowadzić do dobrego celu?

ANNA: *(po chwili namysłu)* Może.

PRZEMYSŁAW: *(po chwili namysłu)* A jeżeli innej drogi nie ma? A jeżeli tylko ta jedna, przeklęta droga prowadzi do celu? Co wówczas? *(po chwili)* Idą za mną upiorne majaki, idą walące się zamki i księstwa, obrócone w popioły! Idą miasta starte z powierzchni ziemi, grody pługami zaorane, góry trupów i jeziora pełne krwi! I wtedy widzę moją bezpotomną, samotną śmierć i ziemie bezpańskie i morza bezpańskie, na łup Niemcom wydane!

ANNA: Ludgarda?

PRZEMYSŁAW: *(szeptem)* Tak. *(ukrył twarz w dłoniach)*

ANNA: *(wychodzi na palcach)* *(cisza)*

PRZEMYSŁAW: *(po długiej chwili milczenia)* Anno. *(odrywa dłonie od twarzy)* Anno! Wyszła? *(niespokojnie)* Wyszła. *(zrywa się i biegnie ku drzwiom)*

ZARĘBA: *(stanął w drzwiach)*

PRZEMYSŁAW: Kto to?

ZARĘBA: *(szeptem)* Zaręba, mości książę.

PRZEMYSŁAW: Wy? Tu? Po nocy?

ZARĘBA: *(szeptem)* Wybaczcie, książę, że o tak późnej porze do was przychodzę. Powiedziano mi, że na pokojach księżnej jesteście.

PRZEMYSŁAW: *(niespokjnie)* Czy są to sprawy tak ważne, że po nocy musicie ze mną mówić?

ZARĘBA: Ważne.

PRZEMYSŁAW: *(nieswoim głosem)* Mówcie.

ZARĘBA: Z dobrym słowem do was przychodzę.

PRZEMYSŁAW: *(zakłopotany)* Mówcie.

ZARĘBA: W nocy serce ludzkie łatwiej się otwiera. Może dlatego tak się dzieje, że serce ludzkie w gwiazdach swoich losów szuka.

PRZEMYSŁAW: *(milczy)*

ZARĘBA: Nocą serca ludzkie otwierają się jak tajemne kwiaty. Wszystko w nich się widzi i nic nie jest w nich zatajone.

PRZEMYSŁAW: *(drgnął)* O czym mówicie?

ZARĘBA: Noc na jaw wydobywa każdą ranę ludzkiego serca, każde pęknięcie obnaża, każdy dźwięk duszy chwyta i ustokratnia.

PRZEMYSŁAW: Czego ode mnie chcecie?

ZARĘBA: Czytam w waszym sercu jak gwiaździarz w planetach.

PRZEMYSŁAW: Czego ode mnie chcecie?

ZARĘBA: *(szeptem)* Ludgardy — — *(głuche milczenie)*

PRZEMYSŁAW: Czego?

ZARĘBA: Ludgardy.

PRZEMYSŁAW: Wy?

ZARĘBA: Mości książę — —

PRZEMYSŁAW: Nie rozumiem.

ZARĘBA: Kocham ją.

PRZEMYSŁAW: Wy?

ZARĘBA: Mości księżę — —

PRZEMYSŁAW: Chyba oszaleliście.

ZARĘBA: Człowiek jest tym, co działa. Nie siejcie zła.

PRZEMYSŁAW: *(ponuro)* Pozory. W każdym człowieku są groby jego bliźnich i cmentarze umarłych uczuć. Tym jest człowiek. Czego chcecie jeszcze odemnie?

ZARĘBA: Oddajcie mi, książę, Ludgardę. Co dla jednych jest święte, dla drugich jest pyłem nic nie znaczącym. Krzywda i nienawiść pomiędzy wami stoją i niemasz takiej siły, która by je ułagodzić mogła. Umarłe uczucia są jak upiory. Dawnym one życiem straszą, dopóki ich ręka litościwa w ziemi nie pogrzebie. Są między wami sprawy, których nic już wyrównać nie zdoła.

PRZEMYSŁAW: *(wybucha gwałtownym śmiechem)*

ZARĘBA: *(cofnął się)*

PRZEMYSŁAW: *(padł na ławę, wciąż zanosząc się śmiechem)*

ZARĘBA: Serce wam odkryłem.

PRZEMYSŁAW: *(śmieje się)*

ZARĘBA: Serce wam — —

PRZEMYSŁAW: *(znieruchomiał. Śmiech zastygł jak maska na jego twarzy, cisza, na dziedzińcu słychać nawoływanie straży zamkowej, wiatr huczy w kominie)*

ANNA: *(stanęła w drzwiach)*

PRZEMYSŁAW: *(wzrok utkwił w Annie)*

ANNA: *(powoli wyciąga przed siebie obie ręce)*

PRZEMYSŁAW: *(zerwał się z ławy)*

ZARĘBA: *(jakby w ziemię wrósł)*

ANNA: *(wznosi ręce ku górze i porusza palcami)*

PRZEMYSŁAW: *(idzie ku Annie i wpatruje się przerażonym wzrokiem w ruchy jej palców. Przystanął. Schrypnięty głos z trudem wydziera się z jego gardła)* Jezu Chryste!

Roman Brandstaetter.

Wśród czasopism

W rubryce tej pozwoliłem sobie kiedyś przeprowadzić pobieżny bilans rezultatów, jakie przynoszą w zacieśnieniu zbliżenia polsko-czechosłowackiego wyjazdy sportowców i wyjazdy literatów. Wskazywałem wówczas na artykuły, reportaże i przekłady, które powstały po powrocie trzech czy czterech pisarzy z krótkiej podróży do Czechosłowacji. Dziś chciałbym wskazać na analogiczne wyniki w prasie Czechosłowacji.

Rzecz prosta, że tylko część odgłosów pobytu w Polsce mogę tutaj zreferować. Ze względu np. na liczebność trudno byłoby omawiać echa Kongresu Wrocławskiego. Pełno ich w prasie codziennej i periodycznej. No i nie wszystkie ważniejsze pisma do nas docierają. A poza tym chciałbym zwrócić naturalnie uwagę tylko na rzeczy najbardziej znamienne.

Wydaje mi się, że w pisaniu o Polsce przodują dzisiaj dwa pisma czeskie. Są to redagowany przez E. F. Buriana tygodnik *„Kulturni Politika"* oraz redagowany przez Jana Drdę dziennik *„Lidowe Noviny"*. Obydwa te pisma są organami Syndykatu Pisarzy Czeskich. Z pism słowackich stały niemal kontakt ze sprawami polskimi utrzymuje dwutygodnik *„Kulturny Život"*, który zapowiedział obszerny numer polski. Pismo to korzysta też czasem ze współpracy polskich autorów.

„Kulturni Politika" prowadzi obecnie otwarta artykułem Jana Pilarza, zasłużonego tłumacza poetów polskich na czeski, wielką ankietę na temat sposobów zacieśnienia współpracy polsko-czechosłowackiej. Ankieta ta w trzech numerach pisma przyniosła już kilkanaście wcale obszernych i szczegółowych wypowiedzi, z których przebija wyraźna troska autorów o to, by sprawa współpracy potraktowana była jak najszerzej i jak najpełniej, przy czym postulaty ujmowane są praktycznie w szereg konkretnych propozycji. *„Lidove Noviny"* przyniosły w ostatnim miesiącu kilka dłuższych artykułów pisarzy i publicystów, którzy bawili w Polsce w okresie lata. Poza jednym z artykułów wstępnych, omawiającym polityczne i społeczno-gospodarcze problemy Polski powojennej, poza krótkimi felietonikami i przekładami felietonów z prasy polskiej znajdujemy tu przede wszystkim zagadnienia kulturalne oraz wspomnienia z pobytu w Polsce opatrzone wieloma ciekawymi komentarzami i uwagami. I tak jeden z młodych literatów, który spędził w Polsce dwa tygodnie w czerwcu i lipcu, Michał Sedloń, informował niedawno wcale trafnie o młodej literaturze polskiej. Dramaturg Teatru Narodowego w Pradze, Jan Kopecky opisał entuzjastycznie swoje spotkania z Solskim, nazywając go „najstarszym aktorem świata". Spod jego też pióra wyszły dwa dalsze artykuły: „Podzięka za przyjaźń" i „O współpracę kulturalną czechosłowacko-polską". By dopełnić wybranej wiązanki z *„Lidovych Novin"*, trzeba jeszcze wymienić opatrzony polskim tytułem felieton Oskara Malisza „Czesi w starym grodzie puckim".

W ostatnim z tych artykułów autor, na przykładzie małego Pucka, gdzie spędzał urlop, i jego codziennego życia pokazuje, jak daleko posunęło się wzajemne zbliżenie Polaków z Czechami i Słowakami i jak przejawia się ono na każdym kroku. Podobne spostrzeżenia w znacznie szerszym zakresie snuje Jan Kopecky, który spędził u nas sześć tygodni i zwiedził wszystkie ważniejsze ośrodki kraju. Porównuje on swoje wrażenia z Polski z pamiętnikiem skautów czeskich, którzy wędrowali po Polsce w r. 1934 i których wszędzie witano z rezerwą, oficjalnie i chłodno. Skauci ci dostrzegli jednak, że pod oficjalną polityką kryje się tu szczera sympatia narodu do Czechosłowacji i wyrażali nadzieję, że z postępem demokracji sympatia ta wyjdzie na jaw. Kopecky stwierdza, że młodzi autorzy pamiętnika sprzed 15 lat, nie omylili się. Polsko-czechosłowacki układ o przyjaźni został naprawdę ratyfikowany przez lud. Trzeci, najobszerniejszy z artykułów polskich Kopeckiego mówi o problemach współpracy kulturalnej, przy czym autor jako doskonały teatrolog i znawca dziejów teatru ogranicza się do teatralnego odcinka tej współpracy. Był okres w początkach XX w., gdy polski dramat i komedia były na scenach czeskich licznie reprezentowane. Znacznie skromniejszy jest bilans za lata 1918—1938. Po polskiej stronie również. Kopecky duży nacisk kładzie na wzajemne gościny teatralne, na występy aktorów czeskich w Polsce i na odwrót, na wymianę reżyserów i doświadczeń pedagogicznych. Miejmy nadzieję, że jako człowiek, zajmujący w życiu teatralnym Czechosłowacji jedno z wybitniejszych miejsc, potrafi on wpłynąć na realizację swoich projektów. Z artykułu Kopeckiego wynika również, że przewidziany jest wyjazd do Polski teatru kukiełkowego prof. Józefa Skupy. Zespół ten, stanowiący dotychczas najwyższe osiągnięcie kukiełkarstwa czeskiego, cieszy się światową sławą, a ostatnio święcił triumfy w Anglii. Najwyższy czas, byśmy ujrzeli go i w Polsce, gdzie kukiełkarstwo stoi wprawdzie pojedynczymi osiągnięciami wysoko pod względem artystycznym, ale zbyt mało jest spopularyzowane. Czechosłowacja rok temu po zniszczeniach wojennych miała już ponad 2.000 teatrów kukiełkowych. Czeski Teatr dla Wsi operuje sam dziesięcioma zespołami kukiełkowymi, które docierają tam, gdzie nie mogą dotrzeć zespoły aktorskie.

Na zakończenie tego niepełnego sprawozdania chciałbym zwrócić uwagę, że z coraz liczniejszych przekładów czeskich i słowackich z literatury polskiej, niektóre spotkały się z dosyć ostrą i słuszną krytyką. Były takie, które określono jako niepotrzebne. I też słusznie. Musimy więc pomyśleć o tym, by tego rodzaju wypadków uniknąć i wprowadzić jakąś kontrolę nad tym, co się z naszej literatury przekłada. Kontrolę naturalnie liberalną i nie protekcyjną, która jednak ustrzegłaby nas przed reprezentowaniem naszej literatury za granicą przez książki o poważnych brakach artystycznych. Umowa kulturalna polsko-czechosłowacka czeka w tym punkcie też na swoją obustronną realizację. *(ki)*

Krótkie spięcia

Bitwa pod Lipskiem

Nieraz już bywała na tym miejscu poruszana sprawa rewizjonizmu historycznego, tak obecnie modnego, nie od rzeczy więc będzie przypomnieć tutaj o jeszcze jednym wypadku owego rewizjonizmu, jakiego dokonał tym razem Mieczysław Pruszyński w swej ostatniej książce p. t. „W Narwiku, w Tobruku i w Moskwie".

Mianowicie na str. 126 owego dzieła w rozdziale „Towarzysze bojowi Brygady Karpackiej" czytamy o tym, jak to w Cyrenajce pewien pułkownik angielski, dowódca pułku „His Own Royal Artillery" z okazji przejścia tego pułku pod komendę polską, wyrażał się z podziwem o bojowości Polaków pod Tobrukiem, a potem — zdaniem Mieczysława Pruszyńskiego — stwierdził, co następuje:

„Przy czym pułkownik angielski, mający w jednym palcu historię swego walecznego pułku, stwierdził w przemówieniu powitalnym, że po raz ostatni pułk spotkał się z Polakami w r. 1813 w bitwie pod Lipskiem i poznawszy wtedy ich waleczność, cieszy się, że pod rozkazami Polaka może obecnie po 128 latach walczyć ze wspólnym wrogiem."

Wprawdzie w żadnym z podręczników historii, dotyczących epoki wojen napoleońskich nie znajduje się nawet najmniejsza wzmianka o udziale Anglików w słynnej bitwie narodów pod Lipskiem, niemniej jednak podręczniki te mogą się mylić. Nie nadarmo przecież M. Pruszyński napisał, że dowódca pułku artylerii „His Own Royal" miał w „jednym palcu historię swego walecznego pułku". Zbadaliśmy tedy dokładnie całą sprawę i w myśl zasad rewizjonistycznych ustaliliśmy taką rzecz.

Bitwa pod Lipskiem w r. 1813 (od 16 do 19 października) wyglądała następująco: Napoleon cofający się z Gibraltaru natknął się pod Lipskiem na przeważające siły turecko-rumuńskie. Wypiwszy w dn. 16 października swą poranną czekoladę, przygotowaną przez wiernego mameluka Rustana, nakazał Neyowi nacierać w kierunku Budapesztu. Następnego dnia (17 października) do Turko-Rumunów dołączyły się armie angielskie, brazylijskie i jeden posiłkowy korpus macedoński. Zawrzała zacięta walka, a Napoleon dosiadłszy konia powiedział do Murata historyczne słowa: „Dlaczego u licha radio dzisiaj nie nadawało gimnastyki porannej?" Murat wzruszył ramionami i zapytał o to samo Księcia Józefa Poniatowskiego. Książę Józef nic na to nie odpowiedział, tylko wzniósłszy w górę buławę marszałkowską, którą w myśl wskazań Napoleona nosił od dziecięcych lat w tornistrze, ruszył z kopyta ze swoją husarią na Anglików. Angielski pułk „His Own Royal Artillery", ten sam, który w 128 lat później bił się razem z Brygadą Karpacką w Cyrenajce, skrzesał ognia, od którego husaria zapaliwszy fajki rozjechała się do domu. Był to pierwszy wypadek braterstwa broni polsko-angielskiego, o ile nie wliczymy w to wspólnych bojów z Anglikami pod Płowcami za czasów Kazimerza Jagiellończyka oraz słynnej odsieszy wiedeńskiej pod wodzą Królowej Bony Sforzy di Montebello Non Sputare Nella Carozza.

Książę Józef nie mogąc przeboleć odjazdu husarii udał się do niejakiej Elstery (ta sama, którą król Jan Kazimierz znał pod imieniem Estery), u której zjadłszy obiad, siadł do samochodu i wyjechał do Ameryki, rozpuszczając po drodę plotkę, że się utopił w Dunaju.

Napoleon po stracie Księcia Józefa wydał bankiet pożegnalny dla swych marszałków, na którym najbardziej hucznie zachowywał się Ks. Bernadotte (ten sam, który w r. 1948 prowadził rokowania w Palestynie) oraz król pruski Fryderyk II. Wieczorem odbyło się galowe przedstawienie w operze.

W dn. 18 października walka toczyła się dalej, a wzięła w niej udział — zresztą zupełnie niepotrzebnie, 9 dywizja perska oraz 1 portugalski pułk lekkokonnych i lekkozbrojnych. Pod wieczór okazało się, że Argentyńczycy przeszli na stronę Brazylijczyków, zaś Brazylijczycy na stronę Nowo-Zelandczyków.. Napoleon był wściekły i kazał wydrukować w gazecie, że jeżeli ktokolwiek jeszcze przejdzie na czyjąkolwiek stronę, to on rzuca cały kram i wyjeżdża na Elbę. Trochę się dopiero uspokoił, gdy Ney wrócił z Budapesztu i powiedział mu, że tam na jego cześć urządzili wielką manifestację Marmont, Macdonald (ten sam, który sto kilkanaście lat później został premierem angielskim), Oudinot i Fryderyk Barbarossa.

Noc przeszła spokojnie, ale nazajutrz (19 października) sytuacja bardzo się zaostrzyła. Korpus Bertranda wyraził się źle o swoim dowódcy, a Car Aleksander I powiedział do Franciszka Józefa II i obecnej przy tym Anny Csillag: „Mon cher ami — ta twoja woda dzisiaj mi zupełnie nie posłużyła!" Potem doszło jeszcze do bitki i wypitki, a gdy o godzinie 16.35 czasu środkowo-europejskiego zaczął padać drobny deszczyk, Napoleon zawołał do swej starej gwardii, stojącej jak mur pod murem oberży w Probsthaida: „Żołnierze! Czterdzieści wieków patrzy na was, a wy nic! Mam dosyć tej bitwy pod Lipskiem — jedziemy do domu!"

Na to Stara Gwardia krzyknęła: „Wiw lamprer!" i w ten sposób bitwa pod Lipskiem w r. 1813 nareszcie się skończyła.

Prosimy więc wszystkich autorów podręczników historii o poczynienie w swych dziełach odpowiednich poprawek, w myśl wyżej zacytowanego tekstu.

NIEJAKI X.

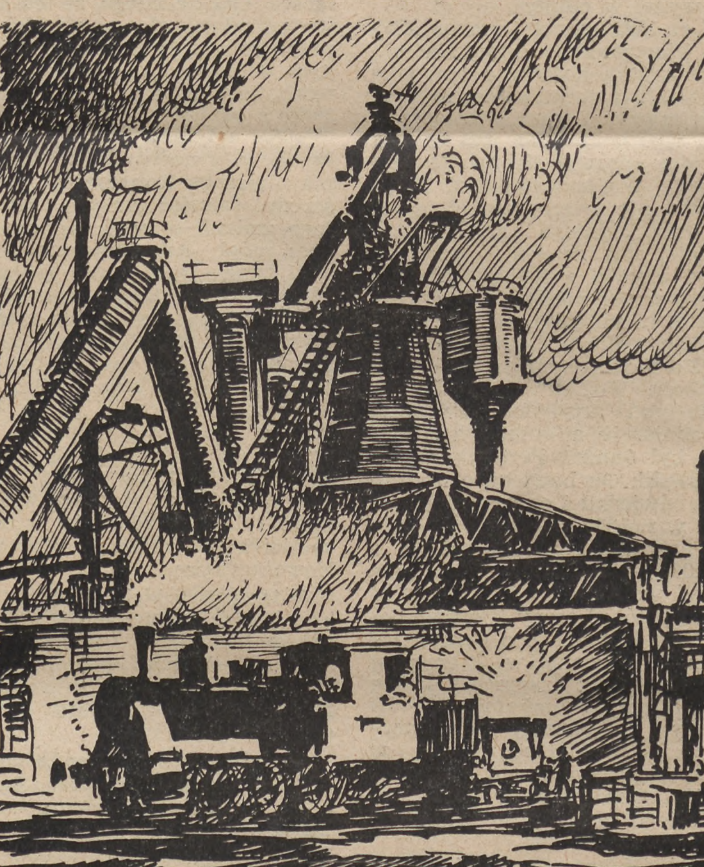
Czarny Śląsk



Felix Ciechomski: Huta „Kościuszko", wielki piec



Felix Ciechomski: Katowice, drapacz chmur



Felix Ciechomski: Huta „Baildon"

STRACH

Mieszkał w Berlinie i bał się zsyłki na Sybir, mieszkał bowiem w radzieckim sektorze miasta. Na samą myśl o tym drżał, wreszcie westchnąwszy do Boga udał się na dworzec Friedrichsstrasse.

Zajechał jakiś pociąg. „Kierunek Westkreuz, zostać!" — wołał ktoś. Tego jeszcze tylko brakowało — pomyślał — i wsunął się do ostatniego wagonu. Wysiadł na Nikolassee. „Czy jestem tu bezpieczny?" — zapytał pierwszego lepszego. „Bezpieczny przed czym?" — odrzekł tamten. „Przed... przed Wschodem" — odpowiedział — drżąc. „Musi pan w takim razie na Zachód, na „prawdziwy" Zachód". Pojechał zatem na „prawdziwy" Zachód. Do Duesseldorfu. „Czy jestem tu bezpieczny?" — „Bezpieczny? Przed czym?". „No, przed... przed falą ze Wschodu, przed zsyłkami i w ogóle". „Oczywiście, to znaczy, lepiej dla pana będzie na lewym brzegu Renu. Tu jest pan po prawej stronie. Niech pan uda się do Eifel".

Następnego dnia stanął w Akwizgranie. „Czy jestem tu bezpieczny?" — „Przed czym?!" — „No — przed Wschodem!" — powiedział znacząco. — „Biedny głupcze, tak pan myśli! Pan jest tu wiele zanadto na wschód wysunięty. Niech oni tylko zaczną a przylepią do ściany jak pluskwę. Człowiecze, niech pan idzie do Francji!"

Za trzy dni był już nad Atlantykiem. Wokół niego tłumy, patrzące się dalej na zachód. Z tęsknotą. Serce biło mu wysoko, w gardle. Czyżby i oni chcieli...? Wołano ku niemu: kto może, niech odbije się, możliwie ze świadomością celu i mocno, od brzegu starej owej Europy. Im dalej na Zachód, tym dalej od Wschodu.

Odbił się. W komorze bagażowej jakiegoś clippera. Na gapę. Do Ameryki. W Nowym Jorku akurat pada śnieg. Nowojorczycy mówili o pięknej pogodzie, która właśnie panuje w Kalifornii, czyli na zachodzie. Nowy Jork jest ostatecznie Wschodem Stanów a na wschodzie... „Na wschodzie?" — zapytał zbieg pełen strachu. — Nowojorczycy śmiali się i radzili: „Najlepiej będzie, jeśli pan uda się do San Francisco".

Po tygodniu stanął na złotym brzegu. „Czy jestem tu bezpieczny?" — było jego pierwsze pytanie. „Jak to bezpieczny? To wszystko tu jest tynk. Kraj i ludzie od dawna są już podminowani. Kto nie musi, nie powinien się tu zatrzymywać. Niech pan idzie za wodę". I wskazywano na ocean.

Poszedł. Na Zachód przez równie pacyfistyczny co pacyficzny ocean. Strach gnał go dalej na zachód. Nagle znalazł się w bajkowym świecie. Miesiącami przedzierał się przez dżungle i wysokie bambusowe gaje. Odżywiał się daktylami i mlekiem kozic. Piękne lasy, długie jeziora otaczały jego ścieżkę. Strach gnał go jednak naprzód. Zupełnie wyczerpany upadł wreszcie przed chłopską chatą. Gdy obudził się z głębokiego snu, z zimnym potem na czole po ostatnich, pełnych strachu rojeniach sennych, ujrzał siebie wewnątrz chaty na łóżku. Chłop, stary brodaty, z łagodną twarzą i oczyma dziecka podawał mu kubek mleka. Podniósł się nieco, wypił łapczywie mleko i zapytał: „Czy jestem tu bezpieczny? Boję się. Boję się zsyłki na Syberię. Czy jestem tu bezpieczny?"

„Niech się pan nie lęka" — powiedział chłop, — tu jest pan całkiem bezpieczny. Stąd nikt pana nie może wysłać na Syberię. Pan znajduje się bowiem na Syberii".

Hans Scherer (Ulenspiegel).



— Na Boga, cóż to?
— Ach, i tego chcieli sprzątnąć, ale w połowie roboty rozmyślili się.
Rys. Karl Holtz

Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36 a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Waryńskiego 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, ul. Młyńska 9, Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik". Złożono i odbito w drukarni nr 9, Sp. Wydawn. „Czytelnik", Katowice 3 Maja 12. Tel. 309-73, wewn. 08
R 30654